Nr. 19. Kraków, dnia 8 maja 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W obronie godności narodowej.

W parlamencie zaszedł fakt oburzający. Poseł, uprawiający systematycznie oszczerstwa i napady, zarzucił prezesowi Koła Polskiego wyzyskiwanie swego stanowiska dla celów ubocznych, nie mających nic wspólnego ani ze stanowiskiem poselskiem, ani z pracami prezesa Koła.

Nie chodzi nam na razie o osobę prezesa Stanisława Głąbińskiego, chociaż niestety musimy skonstatować ze smutkiem, że żaden inny prezes Koła, tylko właśnie pierwszy prezes demokrata narażony jest na tak gwałtowne ataki — wierzymy bowiem, że żaden z tych zarzutów nie osłabi zaufania, jakiem zasłużenie cieszy się prezes Koła u ogółu ludności polskiej.

Chodzi nam o fakt, że na przewódcę naszej reprezentacyi w Wiedniu, na przedstawiciela narodu polskiego w zaborze austryackim, odważył się napaść człowiek, stojący poza społeczeństwem, i że *znajdują się sfery usiłujące osłabić zaufanie do prezesa Koła przez dwuznaczne zachowanie się, jakoby podtrzymywanie zarzutów.*

W naszych warunkach takie zachowanie nie jest możliwe, to stosunki nie do zniesienia. Nie mając urzędowej reprezentacyi państwowej, tembardziej musimy czcić i otaczać powszechnym szacunkiem tych ludzi, których zaufanie ogółu powołało do sprawowania przedstawicielstwa powszechnego. Przez oddawanie należnego szacunku przedstawicielom naszym umacniamy ich i naszą pozycyę wobec obcych, okazujemy hart znaczniejszy i siły tem większe. Osławiając ich, działamy przeciw naszemu interesowi narodowemu i godności narodowej, która domaga się, abyśmy wobec obcych stali: karni, mężni, solidarni!

***

Z pracy oświatowej na Bukowinie.

Czerniowce, w kwietniu.

Jedną z najpoważniejszych naszych organizacyi kulturalnych, a najbardziej zasłużonych około podniesienia i ugruntowania polskości na odległych kresach wschodnich, jest czerniowieckie Koło Tow. Szkoły Ludowej. Działalność tej organizacyi natrafiała na rozmaite przeszkody. Władze nie zawsze odnosiły się do niej z należnem zrozumieniem zadań organizacyi oświatowej; często utrudniały ją w obawie zorganizowania żywiołu polskiego na kresach. Warto wspomnieć, że przez długi czas nie chciano zezwolić na zakładanie czytelń Koła TCL. czerniowieckiego, upatrując w tem działanie przeciw ustawie; dopiero odwołanie się do ministeryum spraw wewnętrznych ostatecznie zadecydowało na korzyść naszą.

Na czele Koła stał niestrudzony pracownik dr. Stanisław Kwiatkowski jako przewodniczący, Władysław Mierzwiński zastępca, Tadeusz Zubrzycki (później Kazimierz Niewiadomski) sekretarz, W. Klimaszewska skarbniczka, J. Oleksiewicz bibliotekarz, Marya Berezowska, Albin Grabowski, Natalia Krentzowa, Jan Mickiewicz, Bazyli Mokrański, Władysław Sołtyński i Kazimierz Tokarski jako wydziałowi.

Do walnego zgromadzenia założono czytelnie w miejscowościach: Kaliczanka, Sadagóra, Pojana, Mikuli, Nowy Sołoniec, Plesz, Dornawatra, Piotrowce nad Seretem, Stara Huta, Łużany, Karapczyjów, Milijów, Baniłów ruski, Hliboka, Tereblestie, Ruda, Solka, Paltinosa, Radowce, Żadowa, Laurenka, Dunawiec, Seret, Opryszewy, Starożyniec, Bojany, Bakrynestie, Dawideny. Istniały one jedynie prowizorycznie, gdyż władze rządowe nie uznawały ich, a w niektórych miejscowościach zupełnie je pozamykały. Dopiero z końcem rb. sprawa została uregulowana pomyślnie.

Z najważniejszych prac koła należy uwzględnić przedewszystkiem zabiegi około utworzenia samoistnego gimnazyum polskiego w Czerniowcach. Kilkunastotysięczna ludność w stolicy kraju, a kilkadziesiąt tysięcy ludności polskiej w kraju nie mają ani jednej szkoły średniej. Podniesiona r. ub. przez dr. St. Kwiatkowskiego myśl utworzenia prywatnego gimnazyum polskiego aprobowało i Koło czerniowieckie TSL. i walny zjazd delegatów TSL. w Kołomyi. Fundusz gimnazyalny dzięki hojnemu darowi Wł. Sołtyńskiego wynosi obecnie 14.000 kor. Przy pomocy młodzieży, skupiającej się w stowarzyszeniu „Ognisku“ zebrano deklaracyi na gimnazyum w kwocie 2000 koron.

Ruch odczytowy w porównaniu z rokiem poprzednim był znacznie silniejszy. Wygłoszono 23 odczyty historyczne we wszystkich niemal czytelniach. Jest to początek drobny wprawdzie, ale bądźcobądź zadatek lepszej przyszłości. Co do obchodów narodowych, to tych przestrzegano szczerze: i w Czerniowcach i w kraju urządzono obchody konstytucyi 3 Maja i ku czci Słowackiego. Do obchodów zaliczamy także uroczystość poświęcenia boiska 4 lipca, na którą przybyło z czytelń blisko 1000 osób.

Dużem świętem dla młodzieży naszej była wycieczka do Krakowa, w której wzięło udział 101 uczestników. Koszta jej pokrył zarząd główny TSL.

Najważniejszym wynikiem pracy całorocznej było wykołatanie w zarządzie głównym nominacyi nauczyciela wędrownego. Został nim Antoni Kamiński, znany działacz w Tarnopolszczyźnie, którego zdolności organizacyjne i obowiązkowość dają nadzieję, że potrafi zdziałać wiele pomiędzy ludnością polską na Bukowinie, zasiedziały tu od lat, nieuznawany przez swoich, a zapomniany przez obcych... *Kresowiec.*

W obronie kupiectwa.

Piszą nam z kraju: Pamiętamy wszyscy opór Koła polskiego przy uchwaleniu ustawy o uzdolnieniu kupieckiem, o t. zw. „Befähigungsnachweis“. Ustawa ta czyni wyjątek dla Galicyi i Bukowiny dlatego, ponieważ tu i tam żyje z handlu siła ubogiej ludności wiejskiej i miejskiej, która jednak nie może się wykazać wymaganem ustawowo uzdolnieniem do handlu. Takiego uzdolnienia można żądać od sfer kupieckich z prowincyi zachodnich, od lat posiadających liczne i dobrze urządzone szkoły handlowe i wydziałowe. U nas pod tym względem rząd prawie nic nie robił. — To też ów liczny świat kramarzy wiejskich i mało- i wielkomiejskich nie posiada żadnej do handlu kwalifikacyi, Syn „uczy się“ od ojca ważyć (niedoważać), obliczać i notować pobrane lub wydane na kredyt towary.

Taki stan panuje do dziś; nic się pod tym względem od czasu uchwalenia owej ustawy nie zmieniło. Rząd jednak zapragnął nagle rozciągnąć ów przepis o „uzdolnieniu“ także na Galicyę. Rozpoczęto więc nagankę na sfery kupieckie i zażądano par force tworzenia „gremiów“ kupieckich, jako pierwsze stadyum do wprowadzenia przepisu o uzdolnieniu. Broni się kupiectwo przeciw tej „łasce“ władz krajowych, urządza protestujące zebrania — nie wątpi jednak kupiectwo, że „gremia“ przy usłużnych czynnikach zostaną przeprowadzone... ponieważ korporacye te będą potrzebne... przy najbliższych wyborach, będą bowiem miały odegrać rolę upadających już dziś co do wpływu kahałów, trzymając drobne kupiectwo w karbach nowej par excelence c. k. korporacyi.

Ta najświeższa robota władz krajowych dziwnie się łączy z narzuconym Sejmowi projektem Rady kultury krajowej... Pragnąłby on widocznie objąć wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, które nie stoją u żłobka rządowego i nie noszą jeszcze jakiegokolwiek uniformu, silnym pierścieniem organizacyi, zależnych od starosty i podatkowego inspektora. W ten sposób wszelkie zachcianki rządu byłyby bez trosk spełniane, a społeczeństwo nauczyłoby się stać „habt acht“ i „maul halten“...

Ludwik Wyrwicz,

Z różnych stron.

— **Pamięci Kazimierza Wielkiego.** W kościele katedralnym dyecezyi kujawsko-kaliskiej we Włocławku odbyła się uroczystość poświęcenia pomnika, wzniesionego Kazimierzowi Wielkiemu, któremu Ziemia Kujawska w rozwoju swoim tyle ma do zawdzięczenia. Obrząd poprzedziły trzy msze św. żałobne za spokój duszy wielkiego Króla. Następnie odsłoniono pomnik Kazimierza Wielkiego dłuta Gontarskiego w 600-tną rocznicę urodzin ostatniego z Piastów na tronie polskim. (Urodzony 30 kwietnia 1310 r.) Świątynia przepełniona była pobożnymi i ludem kujawskim. Ziemian na obchodzie nie było. Uroczystość miała przebieg skromny, ale podniosły.

WIEŚ.

Wieś!

Nie wiem, czy się znajdzie wśród nas serce, któreby na sam dźwięk tego wyrazu nie drgnęło zjawą, czy wspomnieniem, nie rozpłynęło się myślą po polach „malowanych zbożem rozmaitem", do czarnych skib nie przylgnęło.

Toć my wszyscy z niej!

I wszystko nasze.

Wieś.

Wieś — kołyska i macierzystwo narodu! wieś — Piastowa socha! wieś — Mieczysławów pacierz poranny.

Wieś tó Płowce, Dąbrowy, Cecory, Samosierry nasze! to krzyż przydrożny i dziewczęce śpiewanie, brzoski cmentarne i zagon siewny...

Rycerstwo czynu i słowa...

Nasze „u źródła", nasz „przedświt" i przyszłe zorze!

Z niej Żółkiewscy, Zamoyscy, Chodkiewicze, Czarnieccy, z niej miliony oraczy pod ruń zieloną, miljony siewców na kłos złocisty.

Z niej Adamowe proroctwa, z niej trójpowieść Sienkiewiczowa, pienia Chopina, z niej Chełmońskiego płótna, Jacek Malczewski.

Wieś to Reymont, to zychowe powiadania, to Balcerowa na obczyźnie tęsknica, to wiatr halny, co na strunach Tetmajerowej lutni podzwania, to ów „Cham" w zamyśleniu nad brzegiem Niemna dumający, to kopce podwawelskie i kurhanek Maryli.

Wieś to Lud, pług narodu, to brzeszczot jego myśli i upragnień! Tchnienie i natchnienie!

Chleb i Moc! Dusza! Tworzywo nasze!

Wszystko z niej i przez nią, bo ona bliższa najświętszego kochania — Ziemi.

Więc bije z niej i ta Siła, w wielkiem Kochaniu poczęta i wszystko Dobro i całe Piękno, i Ból szlachetny, i Wesele prawdziwe!

Wszystko z niej, Rodzicy! wiek Lechów i dziatwa Wrzesińska! Przeżyte i marzone...

Bez niej nie pojąć Polski!

Bez niej Polsce... nie być!

Wyszedł naród z pod słomnej strzechy, z kurnej lepianki się wyroił i po orle gniazda sięgnął!

Wyszedł i na dolę potomną płużył...

Wyszedł i Bolesławową rękę miał...

I Kazimierzowe prawa nadawał..

I Jagiełłową zbroję z lemiesza wykuł...

I Sobieskich piersią krzyże osłaniał...

I bywał... długie lata bywał!

Miał swoje Banblisy i dożynkowe wieńce, i wiciny gdańskie i sosenki z obrazkiem Częstochowskiej...

I chadzał... długo... daleko chadzał! a zawsze do wsi swojej, do Piastowej strzechy powracając, jak do Matki!

I trwa...

Bo z niej pokrzepek i siła, w niej pospólne krewniactwo, w doli czy niedoli! Z niej my i nasze!

ALBANIA.

Rewolucya Albańczyków zaprząta obecnie uwagę całej Europy, stąd uważamy za wskazane podać kilka bliższych szczegółów, dotyczących tego kraju i jego mieszkańców.

Najciekawszym i najmniej zbadanym zakątkiem Europy jest niewątpliwie Albania.

Pod względem prawnym Albańczycy zachowali wszystkie przywileje z ocalałego archaicznego ustroju. Dzielą się na 20 plemion, a każde plemię na chorągwie. Na czele każdego plemienia stoi bajraktar — urząd, zwykle dziedziczny i zatwierdzany przez rząd. Prócz tego każde plemię wybiera swego przedstawiciela, który mieszka w głównem mieście wilajetu i służy za pośrednika pomiędzy tureckiemi władzami a plemieniem. W r. 1880, zebranie tych przedstawicieli zostało zatwierdzone przez W. Portę, jako stałe kolegium a prezes onego otrzymuje od rządu tureckiego stałą pensyę.

Co się tyczy wewnętrznego urządzenia, to każdem plemieniem rządzi Rada Starszych, pozostająca przy boku bajraktara; w ważniejszych kwestyach, np. kiedy wypędzać bydło na pastwisko, zwoływany jest t. zw. kuwent — wielkie zebranie plemienia, do którego z każdego domu wysyłany przedstawiciel, zazwyczaj najstarszy z rodziny.

Albańczycy rządzą się swemi prawami, które znają tylko 2 kary — karę pieniężną i konfiskatę bydła; kodeks ich, który w tradycyi przechował się pod nazwą „praw Duka Gini" (tj. księcia Jana, syna króla neapolitańskiego, który niegdyś miał być władzcą Albanii) w części uznany jest przez W. Portę i zastosowany w wielu górnych okręgach.

Pośród Albańczyków, których liczy Turcya około 2 milionów, 30 proc. stanowią chrześcianie, jedyni „giaurowie", którym za dawniejszych rządów absolutnych wolno było nosić broń, a to pe-

wno z tej przyczyny, że gdyby im nie pozwolono, to i tak nie słuchanoby tego zakazu, albowiem de facto w Albanii wogóle nie wykonywa się tego, co jest napisane na papierze. Chociaż Albania na papierze należy do Turcyi i jest rządzona według praw ogólnych, w rzeczywistości jej mieszkańcy mniej się liczą z rządem tureckim, z tureckiemi prawami, aniżeli w odległym Yemenie.

Władze tureckie same przyznają, że rola ich w Albanii, zwłaszcza po za murami miast, schodzi do zera. Wszelkie rozkazy i wyroki wyższych sądów tureckich pozostają tutaj bez najmniejszego skutku.

Albańczycy obowiązani są dostarczać rekruta, lecz dostarczają bardzo niewiele, tyle tylko, ile im się podoba.

Co się tyczy ich etnograficznego pochodzenia, to sądząc z licznych ich zwyczajów i obyczajów, np. „przysięga na kamień“ (Perket Pesz), można wnioskować, że pochodzą od dawnych Pelazgów, autochtonów półwyspu Bałkańskiego.

Zowią sami siebie: Iszkiptary (iszkipe = orzeł, tar = syn — więc: synowie orła, prawdopodobnie od starodawnych proporców wojennych, na drzewku których zatknięty bywał orzeł). Według tureckiego mniemania, Albańczycy mają być potomkami dawniejszych Iliryjczyków.

Mowa ich niema nic wspólnego z żadną ze znanych mów na świecie. Nazwa Arnaut powstała od słowa greckiego arbaniroi, którem to słowem Bizantyjczycy nazywali ten naród.

Albańczycy dzielą się na Ghegów, zamieszkałych na północy i Tosków — w południowej Albanii. Ci ostatni dzielą się znów na 4 szczepy: na właściwych Tosków, zamieszkałych wewnątrz Albanii; na Tszamów, zamieszkałych nieco na południe, na wybrzeżu morza Adryatyckiego; Łapów — z północnej części i Janiotów — zamieszkałych naokoło miasta Janiny.

Ghegi, których jest przeszło milion, są w części katolicy, w części mahometanie, zamieszkują wilajet kosowski i skutarski; Toski zaś zamieszkują wilajet janiński (dawniej Epirus), będąc pomieszani z Grekami i Kucowołochami.

Co się tyczy religii, wyznawanej przez Albańczyków, to $^1/_5$ ich jest katolicka, $^1/_5$ schizmatycka, a pozostałe $^3/_5$ są mahometańskie; pomino to trzy te wyznania mają wspólną mowę, zwyczaje i obyczaje.

Po porażce wojska albańskiego, pozostającego pod wodzą walecznego Gdorga Kastrioti (zm. w r. 1467), znanego w historyi pod nazwą Skandenberga — które przez dość długi czas opierało się tureckim zdobywcom, większa część Albańczyków przyjęła islam — podczas gdy inni, przodkowie teraźniejszych katolików, pozostali wierni swej wierze.

Najliczniejszy szczep stanowią Mirdyty, zamieszkali w górach, którzy odznaczają się swym wojowniczym charakterem i dążnością do nieograniczonej swobody. Ich wojewoda, Prenk Bib-Doda, po powstaniu w r. 1881, otrzymał od sułtana tytuł paszy.

Również Toski, zamieszkali w południowej Albanii, dzielą się na chrześcian i mahometan, z których ostatni stanowią większość. Toski-chrześcianie są wszyscy schizmatycy i pałają wielką nienawiścią do Ghegów-katolików. Sympatyzują wielce z Grekami, a nawet w czasie walki Greków o wyswobodzenie z pod jarzma tureckiego, walczyli jako Sulioty pod wodzą Marka Botzarisa przeciwko Turkom. Odznaczają się łagodniejszem usposobieniem — czego nie można powiedzieć o Ghegach, u których istnieje vendetta — są całkiem podległemi W. Porcie, zajmują się rolnictwem, przemysłem, dostarczają z pośród siebie wielu urzędników i dygnitarzy państwa (np. ostatni w. wezyr, przed przywróceniem konstytucyi dnia 24 lipca 1908 r., Ferid-pasza, był Albańczykiem).

Albańczycy są najpiękniejszym ludem w Turcyi europejskiej: wysokiego wzrostu, smukli, zgrabni, zwinni — dostarczają najlepszych żołnierzy. Z pośród nich sformowana jest leib-gwardya sułtańska: Arnaut tabor, najwięcej padyszachowi oddana.

To samo można powiedzieć o garstce Albańczyków (100,000 głów), zamieszkałych od niepamiętnych czasów w południowych Włoszech i Sycylii, którzy również odznaczają się wielkiemi zdolnościami, zamiłowaniem do pracy i, będąc na urzędach, bardzo szybko awansują. Albańskiego pochodzenia był Francesko Crispi.

Pomimo tego, że Albańczycy według religii, przez nich wyznawanych, rozpadają się na trzy grupy, to od założenia w r. 1881 ligi narodowej Drita, zauważyć można pomiędzy nimi silne nanacyonalistyczne dążności, zmierzające do uformowania jeżeli nie całkiem niezawisłego państewka, to przynajmniej prowincyi z obszerną autonowią.

D-r Fruziński-Ismael Bej.



Wjazd króla Sobieskiego do Wiednia.

ZAPISKI LITERACKIE.

— KALLIMACH: „ŻYCIE I OBYCZAJE GRZEGORZA Z SANOKA“. Lwowscy studenci filologii wydali udatny i poprawny przekład „Życia i obyczajów Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego“ napisanego przez humanistę Filipa Buonaccorsiego Kallimacha. Przekład poprzedza wstęp skreślony przez dra Sinkę, który ułatwia należyte ocenienie zasług Grzegorza z Sanoka. Kallimach powodowany wdzięcznością, przesadza znaczenie Grzegorza, który w młodości daleki był od ideałów renesansowych, a łaciną nigdy nie władał należycie. Ale z tego zbyt skwapliwie wysnuli niektórzy ucznie wniosek, że ten arcybiskup lwowski był tylko dobrym przepisywaczem autorów. Prawda leży w pośrodku. Kallimach zbłądził, kreśląc sylwetkę młodzieńca i męża tymi rysami, które poznał u starca w Dunajowie, bezsprzecznie jednak Grzegorz był tym, który do ojczyzny naszej wprowadził renesansowy pogląd na świat, zabawy z dysputami uczonych, uczty z deklamacyami, dwór pełny dźwięków lutni i wesołych śmiechów. Biografię Kallimachową czyta się z przyjemnością; język przekładu szczeropolski, forma lekka. Nie mówiąc o misternym szkicu życia prywatnego ludzi Odrodzenia, — autor kreśli w sposób powabny charakterystykę Polaków, ówczesny stan wiary i wiedzy, ówczesne położenie dyecezyi lwowskiej. Książka ta, wspomnienie epoki z przed 400 laty zamarłej ze wszech miar polecenia jest godną.

— ANTONI MARYLSKI-ŁUSZCZEWSKI: „HISTORYA WŁOŚCIAN W POLSCE.“ Wydany dotąd tom pierwszy zawiera dzieje wolnej ludności wieśniaczej od czasów najdawniejszych do początku XIII wieku. Drugi tom poświęcony będzie historyi ludności czynszowej i obejmie czasy od w. XIII do XVI. Trzeci przypada na czasy od w. XVI. tj. od doby przywiązywania włościan do gleby i poza drugą połowę XVIII wieku, tj. do epoki, gdy uwidaczniać się zaczynają wyniki ruchu, dążącego do emigracyi włościan. Czwarty wreszcie tom obejmie czasy od drugiej połowy XVIII w. do uwłaszczenia włościan przez rządy państw rozbiorowych. W piątym zaś przedstawiona będzie chwila obecna. Praca Marylskiego ma tem znamienniejsze znaczenie, że jest popularnie, jasno wyłożonem przedstawieniem przedmiotu, który w piśmiennictwie naszem posiada bardzo niewiele studyów monograficznych, przeważnie przestarzałych z punktu widzenia naukowego, albo trzymanych na poziomie bezkrytycznych pogadanek historycznych, albo wreszcie zarysowanych jeno ogólnikowo i pobieżnie bądź z braków materyałów, bądź z racyi niezgłębionej jeszcze genezy dziejów Polski, która dopiero w ostatnich czasach krystalizuje się wskutek dociekań wybitnych historyków. (k. w.)

— R. SWOBODOWA: BŁOGOSŁAWIONY. Autorka powieści należy do pierwszorzędnych sił literackich Czech współczesnych. Powieść jej zarówno ujęciem tematu jak oryginalnem tłem nieszczęśliwego środowiska, wśród którego w poszukiwaniu szczęścia na ziemi przechodzi mękę duchową ks. Gibert, mocno odbija.

— „Nakładem „Ojczyzny“ dla uczczenia 600-ej rocznicy urodzin „Króla Chłopów“ wyszła z druku książeczka p. t. „KAZIMIERZ WIELKI“ PRZEZ STANISŁAWA RYMARA, zawierająca w popularnem streszczeniu dzieje tego króla. Wydawnictwo to, ozdobione ilustracyami i mapką Polski z czasów Kazimierzowych, nadaje się bardzo do czytelń ludowych, pożytecznem być też może dla prelegentów wiejskich i miejskich. Dostać ją można we wszystkich księgarniach oraz w administracyi „Ojczyzny“ Kraków, św. Anny 2, II p. Cena 60 gr.

W tym samym nakładzie wyszły już dawniej książeczki:

1) „KONSTYTUCYA 3 MAJA“, NAPISAŁ ANTONI SOSNA; cena 25 gr. oraz 2) „POD RASZYNEM, POD GÓRĄ KALWARYĄ...“, NAPISAŁ STA-RY; cena 50 gr.“

„Credo.“

Ciężka niekiedy przeznaczenia droga,
Którą iść trzeba, choć ustają siły,
Gdy walka życia nie ustaje sroga,
Choć krew męczeńska tryska z każdej żyły.
Lecz stokroć cięższa jest dola na świecie
Temu, co walcząc w imię swej idei,
Niewie, że szczęścia prawdziwego kwiecie
Ten w sobie żywi, kto sam trwa w nadziei,
Że i najsroższe na ziemi cierpienia,
Zanikną z czasem w mroku zapomnienia;
A co ukochał prawdziwie i szczerze,
Żadna mu ziemska przemoc nie odbierze!

Prawdomir.



Przy organach.

JAPONKA.

Mimo wzbogacenia się, prawie że codziennie, nadzwyczajnymi zdobyczami wiedzy ludzkiej, mimo zdumiewających wynalazków uprzyjemniających i ułatwiających człowiekowi bytowanie — stara cywilizacya Europy zaczyna odczuwać początek... wycieńczenia. Prawem dziedziczności posiadamy jeszcze dotąd umiejętność i rutynę czynu — lecz samorodna, intuicyjna potencya naszego intelektu, stanowczo w pewnych kierunkach jest osłabiona.

Wyczerpani nużącą niezmiernie walką o byt, polityką, żądzą używania lub użyciem, przesytem lub z drugiej strony nędzą, zapominamy absolutnie o potrzebie moralno-etycznej normy życiowej, regulującej byt jednostki i społeczeństwa i dającej pogodę wewnętrzną. Przez takie właśnie wyćwiczenie, ludy cywilizowane borykają się dziesiątki lat najniedołężniej i najnieudolniej z różnorodnymi dezyderatami społecznymi — przekonywując się pewnego dnia, że inne ludy, będące dopiero w zaraniu cywilizacyi, takie dezyteraty oddawna mają unormowane.

Wiadomo, jak ważną rolę w życiu Europy gra „feminizm", tak łatwy w teoryi, a tak trudny w praktyce do unormowania. Zobaczymy więc, w jaki sposób ta kwestya społeczna jest postawiona w Japonii. Nie twierdząc, by stosunek Japonki do jej społeczeństwa miał być dla nas miarodajnym, sądzimy, że opisanie warunków życiowych kobiety społeczeństwa, które w wielu razach nam imponuje, w niejednym punkcie poglądu na nasz europejski feminizm może rzucić ciekawe światło.

Wielu ludziom zdawać się może, że w krainie, gdzie kastowość gra tak wielką rolę w życiu mężczyzny, odgrywa ona wielką rolę w życiu kobiety. Przeciwnie, Japonka od wieków jest demokratką; od wieków wszystkie bezwzględnie kobiety w Japonii mają jeden wspólny cel życia — miłość ojczyzny. Japonki dzielą się tylko na dwie kategorye: żony-matki i hetery, niemające ze sobą nic wspólnego. Obowiązkiem kobiety pierwszej kategoryi: być dobrą żoną i dobrą matką, pomagać swemu mężowi w ciszy domowego ogniska i wychowywać dzieci na uczciwych, zdrowych ludzi, miłujących nadewszystko ojczyznę. Dziewczyna, wychodząca za mąż, wyrzeka się coprawda wszelakich aspiracyi indywidualnych, wyrzec się musi nawet stosunków z rodziną własną, jest jednakże otoczona zwykle wysokim szacunkiem i poważaniem męża, oraz specyalną czcią ogółu. Japonka, jako żona i matka, poświęcić się musi absolutnie obowiązkom żony, gospodyni domu swojego męża i obowiązkom matki jego dzieci. Musi życie swoje zamknąć w zupełnie odosobnionej od gwaru życia ciszy domowego ogniska, musi oddać się bezwzględnie pod władzę świekry, lecz czyni to z wolnej i nieprzymuszonej woli — czyni to chętnie, nie uważając się za niewolnicę, bo w każdej chwili z niewoli tej wyzwolić się może przez rozwód, który w Japonii z niezmierną łatwością uzyskać można.

Kobiety japońskie, wszystkich sfer towarzyskich, są w wymaganiach swych niezwykle powściągliwe — zadawalają się skromnem urządzeniem mieszkania i najskromniejszem ubraniem, jakkolwiek dbają o wdzięk, a są wogóle czyste i porządne. Na wszelkie uroczystości ubierają się, coprawda, w bardzo kosztowne kimono — lecz strój taki lata całe służyć może, wobec tego, że żadne zmiany mody w Japonii nie istnieją. Japonka, oddana obowiązkom pani domu i matki, nie pojmuje żadnego erotyzmu — flirty i miłostki mężatek w Japonii są zupełnie nieznane. Z godnością królowej i z uśmiechem pobłażliwości, patrzą Japonki na wycieczki swych mężów do herbaciarni... do królestwa gejsz. Wogóle w Japonce, która poświęciła się obowiązkom żony i matki, nie istnieje uczucie zazdrości, co poniekąd tłomaczy się tem, że poligamia jest dozwoloną i przez prawo uznawaną. Znany jest całemu światu sympatyczny stosunek cesarza Mu-czy-kito do jego małżonki. Lecz ponieważ cesarzowa jest bezdzietną, za następcę tronu uznany został syn jednej z faworyt cesarskich.

O ile młoda dziewczyna w Japonii decyduje się wyjść za mąż, osiąga to z łatwością, ponieważ każdy Japończyk obowiązkowo musi być żonaty. Starokawalerstwo w Japonii nie istnieje. Wogóle, o ile starają się od dzieciństwa wszczepiać w dziewczęta łagodność, skromność, zamiłowanie czystości i porządku, o tyle starają się wykorzeniać wszelki sentyment i egzaltacyę. Kobieta japońska jest równa, zawsze uśmiechnięta i zawsze spokojna. Nawet ciosy życiowe, śmierć męża lub dziecka, przyjmuje z rezygnacyą. A jeżeli śmierć ta nastąpiła na placu boju, w walce z wrogiem ojczyzny, szczycą się tem i są z tego dumne. Japonki posiadają przeważnie duży wdzięk, twarz ich zawsze okraszoną jest uśmiechem, nigdy jednak nie są zalotne i nie uznają kokieteryi. Zalotność i kokieterya uwłaczają ich dostojeństwu.

Poczucie moralności jest tak wysoko rozwinięte w kobicie i dziewczynie japońskiej, że nie rozumie ona poczucia wstydu. W lecie, tuż obok mężczyzn, kąpią się kobiety zupełnie obnażone, nie uważając tego za niewłaściwe. A młode dziewczęta wiejskie lub mieszkające na przedmieściach miast, gromadkami całemi, zupełnie obnażone, udają się do kąpieli, często o kilometr odległych od mieszkania, nie budząc zgorszenia, ani też najmniejszego zdziwienia przechodniów, których zmuszone są mijać.

W pracy społecznej i rozwoju kulturalnym Japonka zajmuje niepoślednie stanowisko. Miejsca kasyerek na kolejach, konduktorek w tramwajach, telegrafistek, telefonistek, zecerek — przeważnie obsadzone są przez kobiety. W uniwersytetach



POLOWANIE.

japońskich kobiet nie spotyka się, lecz posiadają one specyalnie kobiecy uniwersytet w Kobe, gdzie kształcą się przeważnie na nauczycielki i doktorki. Doktorki japońskie mają prawo leczyć tylko kobiety i dzieci — nawet dentystki mężczyznom porady udzielać nie mają prawa. Rozumie się, że wszystkie kobiety, pracujące samodzielnie w biurach, doktorki, dentystki, felczerki, wdzięczne, acz niewygodne „kimono" z musu zrzucają, ubierając się w suknie europejskie. Kostyumy te są zawsze skromne, praktyczne, dostosowane do rodzaju zajęcia. Lecz po ukończonej pracy, na święto, wracają wszystkie do ulubionej sukni narodowej, którą im daje tak ceniony przez Europejczyków urok oryentalności. Japonka przy swej wrodzonej wesołości ma niezwykle poważny pogląd na życie i na stosunek jej względem mężczyzny. Nie lubi błyskotek i nieznanych jej rozrywek — te jej wcale nie nęcą. Na europejską galanteryę mężczyzn względem kobiety patrzy niechętnie i czuje się nią obrażoną. Lubi być traktowaną poważnie i grzecznie, ale bez żadnych specyalnych względów, które drażnią jej kobiecą ambicyę. Kobieta japońska ma silnie rozwinięte poczucie piękna, tandety artystycznej nie znosi, europejskich perfum nie używa, aczkolwiek lubi się sama i dom swój przystrajać kwiatami, których hodowli oddaje się z namiętnością.

Pomimo ciasnego na pozór zakresu życia kobiety japońskiej, ma ona ogromnie rozwinięty instynkt pracy społecznej. Japonia, hołdując niestety jak i wszystkie państwa militaryzmowi, jest ciągle w pogotowiu wojennem — kobiety od tego prądu społecznego nie są zupełnie odsunięte. Uniwersytet w Kobe i specyalne szkoły kształcą masę młodych dziewcząt na pielęgniarki szpitalne. Oprócz tego ogół kobiet jest tak przygotowany, by w razie wyludnienia kraju przez wojenne zorganizowanie się armii, przez wyjazd mężczyzn na odległy teren walki, objąć ich stanowiska, ażeby

tym sposobem uniemożliwić stagnacyę przez brak pracowników w jakiejkolwiek gałęzi pracy. Co do warunków samodzielnej egzystencyi kobiety, to te w Japonii stanowczo są lepsze, niż w Europie. Tam nie jest kobieta przez pracodawców tak wyzyskiwana jak u nas, prawa jej są zrównane z prawami mężczyzn; zdolna pracowniczka ma prawo do tego samego wynagrodzenia, co i mężczyzna, a wreszcie mężczyzna pracownik nie uważa swej koleżanki za wrogi żywioł konkurencyjny, obniżający wartość realną jego pracy zawodowej. Wogóle znawcy warunków życia kobiety japońskiej powiadają, że Japonia po części potęgę swą zawdzięcza kobietom. Pod tym względem przyznać musimy z dumą, że pomiędzy wszystkiemi kobietami narodów europejskich najpodobniejszą jest do Japonki nasza żona i matka — Polka.

POZOSTAŁY...

Pozostały te łzy duże, łzy duże,
I te lipy rozkwitłe, pachnące,
I te blaski w porannej purpurze
I to zwolna wstające z wód — słońce...

Pozostały te mgły sine, mgły sine...
Duszy poryw rycerski, skrzydlaty,
Jeno szczęście to jedno, jedyne,
Odleciało żałosne we światy.

Mieczysław Smolarski.

Najprostsza droga do majątku.

Tysiące ludzi pragnie z całej duszy mieć swoją własność, swój majątek, choćby nie wielki. Pragną, lecz sami nie chcą nic uczynić w tej mierze. Sądzą, że „pieczone gołąbki same wpadają do gąbki“.

Także pod względem patryotycznym, jest to wielką korzyścią narodową, jeśli kraj jaki ma wiele jednostek, posiadających swoją własność, swój majątek. Bogatem jest społeczeństwo, jeśli ma obywateli bogatych. Społeczeństwo takie jest silne, nieraz silniejsze od przewagi orężnej. Tak naprzykład wiemy z historyi, że Napoleon, pierwszy cesarz francuski i zarazem największy wódz w świecie, został pokonany przez bogactwo Anglii! Zwyciężyły Napoleona wprawdzie wojska austryackie, niemieckie i rosyjskie, lecz wojska wszystkich trzech państw były utrzymywane za pieniądze, przez Anglików dostarczane.

Rozpowszechniła się u nas myśl, że bogactwo zyskuje nam poszanowanie, władzę i inne większe korzyści materyalne oraz duchowe. Coraz więcej, wśród nas ujawnia się chęć dojścia do zamożności. Lecz jak złe obieramy drogi nieraz, żeby dobrobyt osiągnąć? Jedni szukają szczęścia w grze, w loteryi: — Raz przecież muszę wygrać! — ten i ów powtarza, a tymczasem zamiast mieć coraz więcej, ma coraz mniej... Inni czekają wiecznie na jakiś spadek, spodziewają się jakiegoś zapisu, liczą na jakiegoś bogatego wuja, lub jeszcze bogatszą ciotkę... Ale ponieważ poczciwy wujaszek nie ma jakoś wcale ochoty umierać, więc o wielkim spadku ani słuchu! Tacy ludzie nie chcą zrozumieć, że „bez pracy, niema kołaczy“ i do śmierci marzą o „pieczonych gołąbkach“, a dopiero po niewczasie spostrzegają, że po zmarnowanem lecie, źle bywa w jesieni. Pracować przeto trzeba i jeszcze pracować, a z tej pracy oszczędzać! Coś sobie zapracował — to twoje. Coś sobie zaoszczędził, tego będziesz używał, gdy już nie będziesz mógł pracować. Mądrze o pracy wyraził się Szymon Szymonowicz, wielki pisarz polski. Otóż Szymonowicz mówi:

„Praca — chleb najpewniejszy
Kto polega na niej —
I za żywota ma na chleb
I po nim zostanie...“

Ludzie wspólnie pracują dla wspólnego bytu; rolnik dostarcza nam pożywienia; rzemieślnik wyrabia tkaninę, a krawcy i szwaczki, szyjąc dają nam ubrania, mularz i budowniczy stawiają domy na schronienie naszych ognisk domowych itd.

Praca jest więc życiem ludzkości. Usuńmy ją a zginie ród ludzki. Wszystko, cokolwiek wielkiem jest w człowieku — w pracy ma swe źródło: piękność w sztuce, w piśmiennictwie, w umiejętnościach. Cała wiedza daje się posiąść jedynie przez pracę. Każda myśl pożyteczna i piękna jest wynikiem pracy, badań... Kto świat popchnął naprzód drogą postępu? Za czyją, jeśli nie pracowników stało się to sprawą? Bylibyśmy pozbawieni dobrodziejstw oświaty, gdyby nie oszczędności i zapasy przez ojców naszych poczynione: zapasy pieniędzy, budynków, lasów itp. zasoby umiejętności, piśmiennictwa, wynalazków i umysłowej kultury. Te oszczędności wytworzyły cywilizacyę w świecie. One są wynikiem pracy.



PRÓŻNOŚĆ.

Nawet wtedy, gdy ci się zdaje, że nie zdołasz za życia zapracować majątku, to jeszcze pracuj i oszczędzaj w tej myśli, że fundusz, zapoczątkowany przez ciebie, przyda się komuś, kto go po tobie powiększy, pomnoży... „Chociaż nie skończysz, działaj ciągle!“ Więc, jeżeli sam dla siebie dbać nie potrzebujesz o zapewnienie dobrobytu na starość — to jeszcze pracuj, żeby zapewnić dobrobyt innym, choćby po twojej śmierci:

„Człowiek się nie dla siebie rodzi,
Sobie żyć tylko, to się nie godzi“.

Oszczędność powstała dopiero razem z oświatą. Ale też praca i oszczędność zrodziły oświatę. Pozostaje zatem jedna tylko prosta droga, żeby się wzbogacić. Przy pracy oszczędność, ale oszczędność rozsądna. Po większej części ludzie, którzy swoją własność posiadają, zdobyli majątek tylko przez pracę i oszczędność. Prawie wszyscy ludzie,

którzy nic nie mają, dla tego żyją w niedostatku, ponieważ pracowali i nie umieli oszczędzać. Społeczeństwu polskiemu, jako wzór pracowitości i oszczędności, służyć może szlachetny mieszczanin Staszyc. Jest to jeden z największych ludzi, jakich Polska wogóle wydała. Staszyc był z zawodu nauczycielem, a żył za panowania ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Staszyc jest Wielkopolaninem i stąd Księstwo Poznańskie dumne być może, że go na świat wydało. Jako pisarz przygotował Staszyc umysły polskiej szlachty dla zasad konstytucyjnych. On to głosił, że szlachcic i mieszczanin i chłop są sobie równi. A słowa padły na ziemię urodzajną. Staszyc jest duchownym ojcem tej Konstytucyi, uznającej równość wszystkich stanów.

Takim był Staszyc jako pisarz. Nie mniej wielkim jest jako człowiek w swoim domowym zaciszu. Pracuje od rana do wieczora i składa grosz do grosza. W ten sposób staje się człowiekiem majętnym. Mimo dobrobytu pozostaje oszczędnym do końca życia. Nie dziwną więc jest rzeczą, że umierając, ogromne pieniądze pozostawia i przekazuje majątek polskiemu społeczeństwu. Kamienica Staszyca w Warszawie stała się własnością Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. — Naśladujmy Staszyca!

Drobiazgi naukowe.

Na wodzie i pod ziemią.

Dokądże dojdą wymysły i znieprawienie współczesnych? Nie dość im stawiać wile swoje na pobrzeżu, aby je przewiewał świeży wietrzyk morski, na samem morzu wznoszą swoje dumne pałace!“ — tak wołał jeden z moralistów epoki upadku Rzymu, widząc modę, wprowadzaną przez najbogatszych współobywateli swoich, budowania domów na wodach, uważając ją za najwyższe wyrafinowanie zbytku, poszukującego niepospolitych wzruszeń. Tak prowincyonalista z zapadłego kąta, siedząc dziś nad filiżanką kawy na tarasie kasyna w Nicei, może rzucać gromy na obyczaje zepsutej Riwiery, przelotnych ptaków całego świata, szukających zadowoleń w pałacu nawodnym. O czasy! o obyczaje! To, co za czasów rzymskich i za naszych nawet jest rzadkim wyjątkiem, było niegdyś zwykłym sposobem budowania chat najbiedniejszych, w okresie dzieciństwa ludzkości. Zdaje się że jednym z pierwszych domów, jakie stawiał sobie człowiek, były zabudowania nawodne.

Pozornie wygląda to na paradoks. Ale wyobraźmy sobie, jakie były niegdyś same warunki życia. Pod cieniem lasów olbrzymich paproci, albo na pustyniach lodowych pośród potworów, stworzonych do walk olbrzymich, okrytych nieprzeniknionemi, twardemi skórami lub futrami, zaopatrzonych w kły niebezpieczne, żyje gromada nieszczęśliwych ludzi, karmiących się korzeniami, szukających przytułku w pniach spróchniałych drzew, w jaskiniach.

Tacy byli nasi przodkowie. Najgroźniejszym wrogiem człowieka był człowiek właśnie. Zaledwie połączone usiłowania kilku rodzin zdołały upolować jedną z tych kolosalnych zdobyczy, które cechowały olbrzymią faunę ówczesną, natychmiast wybuchały o podział groźne walki, równie dzikie, a może dziksze nawet, niż wśród zwierząt, bo i człowiek ten był prawie od zwierzęcia niższy.

Jakże uciec przed napaściami zwierząt i ludzi? Ponieważ ziemia była niegościnna, musiała zrodzić się myśl budowania wśród wód rodzaju twierdz, które mogłyby wytrzymać oblężenie i dostarczać tym, którzy się tam schronili, wody i ryb, jako napoju i pożywienia.

Tak, czy inaczej, jedno jest niewątpliwe, że takie wsie nawodne istniały. Istnienie w jeziorach włoskich i szwajcarskich wbitych w dno pali stwierdza to niezbicie. Badania archeologiczne jednej z najgłośniejszych osad Robenhausen, na jeziorze Zurychskiem wykazały, że należy ona do okresu kamienia gładzonego. Inne — w Sabaudynie, w Austryi, w Wirtembergu i w Bawaryi, należą do różnych okresów, nawet bronzu i żelaza. W niektórych okolicach Azyi i Australii dziś jeszcze służą do użytku plemion, należących do ras najniższych Podziwiać trzeba, ile śmiałości, ile trudu musieli zużyć ci cieśle przedhistoryczni, aby budować chaty na wodzie narzędziami, które składały się z kilku licho wyostrzonych siekier. Ale konieczność zmuszała ich do tego. Cierpliwi i mocni, ścinali drzewa olbrzymie, zaostrzali je na jednym z końców, wbijali je w wodę i przykrywali szeregiem belek, suchą trawą pokrytych, dość mocnych, aby wytrzymać ciężar małej z gałęzi splecionej chaty.

Kiedy po tem dziele tytanów, bezpieczni w swoim szałasie, obok śpiącej żony i dzieci, słyszeli z daleka pełzanie w ciemnościach tej sierści, 15 stóp wysokości, potworów, obecnie już bezsilnych — mamuta gruboskórnego o piętnastu stóp wysokości, z równie długimi kłami, olbrzymiego nosorożca z potężnym rogiem i pancerzem



ODPOCZYNEK.

ze skóry, wielkich drapieżników jaskiniowych, niedźwiedzia, hyeny, lwa, obok których dzisiejsze robią wrażenie szczeniaków — ci skromni pracownicy musieli odczuwać dumę ze swego tryumfu! Takie było ich życie i otoczenie przed trzema tysiącami lat...

Nad wodą a więc nad ziemią, mieszkali niegdyś troglodyci, mieszkają dziś najniższe cywilzacyjnie plemiona. Szukali i szukają także ucieczki i we wnętrzu ziemi.

W Tunisie, na progu Gabesu, prawie na granicy Sahary, ciągnie się płaskowzgórze kamieniste, jałowe, spalone promieniami słońca, zamiatane przez simumy, a dostęp do niego tak trudny, że było prawie nieznane aż do ostatnich lat. Tam mieszka plemię Matamasów, dosłownie zapobiegliwych, tak zwanych od nazwiska przedhistorycznego przodka. Mieszkają pod ziemią, w jaskiniach, a stolicy ich, liczącej trzy tysiące mieszkańców, nie widać na powierzchni ziemi.

Zbliża się ciekawy podróżnik i widzi tylko biały meczet, otoczony grobami — jedynymi pomnikami, nad ziemią wzniesonymi Naraz pod nogami spostrzega niewielki otwór. Dochodzą stamtąd głosy, słychać szmery ludzi i zwierząt. Obok pusta jaskinia. Suszy się w niej trochę bielizny, a mieszkańcy wyszli na roboty. I tak można sparować po dachach tego miasta

Szeik wsi prowadzi do swego mieszkania. To najpiękniejsze — trzeba je podziwiać. Studnia pochyła, porządnie wydrążona, prowadzi do wnętrza. Tam ciemności panują nieprzeniknione. Ale uprzejmy gospodarz skrzesał ognia ze swego krzemienia i zapalił w kącie wiązkę alfy. Widać wysokie sale, mieszczące na prawo oborę, na lewo fabrykę oliwy. Korytarzyk ciemny prowadzi do mieszkania. Przez studnię prostopadłą przenika światło do okrągłego dziedzińca, zwykłego patio mieszkań murzyńskich. Naokoło niego sypialnie i pokoje mieszkalne, chłodne w lecie, ciepłe w zimie, bez jakiejkolwiek wilgoci. Nie potrzebują żadnego oparcia, nie zawalają się nigdy, byle budować je w formie ostrych sklepień, lub łuków półkolistych. I tu zresztą, pod ziemią, zachowane są cechy zasadnicze stylu maurytańskiego. Ziemia jest tu rodzajem gliny, miękka, łatwa do drążenia. Kiedy Matamas potrzebuje nowego mieszkania, wybiera kawał ziemi zakreśla koło — i ten kawał ziemi do niego już należy. Zaczyna potem drążyć mieszkanie. W podziemiu Szeika snuje się nić życia powszedniego. Stara matka, bezzębna i wyschnięta, przędzie motek lnu. W innym pokoju dwie ko-

biety tkają dywan — Bóg raczy wiedzieć, jakimi sposobami w takiej ciemności! Owdzie starzec z dumą pokazuje syna, szyjącego na maszynie do szycia. Był tyralierem w Senegalu i stamtąd przywiózł tę nowość.

Takimi szlakami wkracza cywilizacya nawet do podziemnych mieszkań Matamasów.

TO I OWO.

Pierwszym lekarzem na świecie,

o którym ma ludzkość wiadomości, był Egipcyanin I-em Hetep, za panowania króla Teysera około 4500 roku przed Chrystusem. O znaczeniu tego lekarza (nazwisko jego przełożone na język polski brzmi: Siewca pokoju) — świadczy ogromny grób po śmierci i oddawana mu cześć boska. Pamięć jego przetrwała w Egipcie przeszło 4 tysiące lat. Za czasów dynastyi Ptolomeuszów identyfikowano go z Eskulapem, greckim twórcą medycyny.

Rozwiązanie zagadek

zamieszczonych w nr. 13. „Tygodnika Narodowego“:

1. Księżyc.
2. Jaje.
3. Kraków
Owies
Rana
Dawid
Ewa
Cecylia
Kowal
Igła

Kordecki.

Trafne rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali:

Pp. Janina Baruch, Wojciech Brasiński, Józef Głuszak, Emil Gruszecki, Franciszek Kądziela, Jan Kubisz, Helena Michalikówna, Joanna Mroczkowska, Józef Siła-Nawrocki, ks. Wincenty Osikowski, Maryś Ostafiński, Alina Panasiewiczówna, Stanisław Pec, ks. Franciszek Rączka, Maryla Spitzerówna, Antoni Stawiańczyk, Aleksander Stobiecki, Franciszek Szewczyk, Anna Wełnianka, T. Weseli, Anna Woźniakówna.

Rozwiązania jednej lub dwóch zagadek nadesłali:

Wł. Bauer, Stefania Bentke, Michał Chciuk, Marya Chciukówna, Marya Deręgowska, Władysław Dubaj, ks. kapucyn Floryan, Teofil Franks, Marya Firlejowa, Zygmunt Gaudnik, Jan Gawron, J. Gołbowa, Marya Iłoszowska, Maryan Karaś, Franciszek Ketzina, Henrik Królicki, Jan Machnica, Nowopelecki, K. Paryłowski, Bolesław Popiel, Józef Rakowski, Ludwik Rola, Ludwik Sowiński, Antoni Stasiowski, Józefa Steindl, Kazimierz Stopa, Władysław Trybała.

Pierwszą nagrodę otrzymała Alina Panasiewiczówna w Droginii.

Drugą nagrodę otrzymali: Maryś Ostafiński w Stanisławowie, T. Weseli w Tarnowie.

Łamigłówki.

Szarady:

1) Pierwsza nazwa wrzącej wody,
Drugie powóz dawnej mody
Połączone razem z sobą
Są wszystkich kobiet ozdobą.

2) Com jest? — rzecz. Gdy tak, to i ciecz,
A zaś wspak — czarny ptak.

3) *Logogryf.*

Z sylab, a, an, ba, be, ca, cze, czyc, da, da, das, dek, e, ed, gło, gro, in, ka, kaust, ko, le, li, mi, mo, na, nik, nom, non, o, o, pa, per, po, pol, re, ro, ska, so, ta, war, ward, wi, za, za, za — ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, dałyby imię i nazwisko współczesnej znakomitej powieściopisarki.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię męzkie
2. Napój latowy
3. Płyn do pisania
4. Powieściopisarka polska
5. Inaczej rolnik
6. Miasto na Śląszku
7. Imię biblijne
8. Postać z powieści Sienkiewicza
9. Bohater grecki
10. Roślina
11. Część nasienia roślinnego
12. Astronom polski
13. Rodzaj poezyi
14. Dopływ Odry
15. Literat polski.

Dodkładne rozwiązania łamigłówek nadsyłać należy *do 14 maja b. r.* na ręce redakcyi.

Nazwiska wszystkich osób, które trafne nadeślą rozwiązania, zostaną ogłoszone.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Arseniusz powtórzył tonem bardzo stanowczym:

— Nie będę obecnym na swoim procesie.

— Doprawdy?

— Kochany panie, czyżbyś istotnie przypuszczał, że zgnije na wilgotnej słomie! Byłaby to dla mnie zniewaga! Arseniusz Lupin pozostaje w więzieniu tylko tyle czasu, ile mu się podoba — ani chwili dłużej.

— Może byłoby rozsądniej nie dostawać się tu wcale — zauważył inspektor z odcieninm szyderstwa.

— Szanowny pan ironizuje? — Zapewne chce pan podkreślić, że miał pan zaszczyt przyłożyć się do mego uwięzienia. Dowiedz się, kochany panie, że nikt na świecie, nawet pan, nie zdołałby mnie ująć, gdyby nie okoliczności wyjątkowe.

— Zadziwiasz mnie pan.

— Świadkiem owej krytycznej chwili była kobieta, którą kocham... Czy pan rozumiesz, co to znaczy czuć na sobie wzrok kobiety, którą się kocha? Wszystko inne nie obchodziło mnie wcale, przysięgam panu. Oto dlaczego jestem tutaj!

— Od dosyć dawna, pozwól pan zauważyć...

— Chciałem zapomnieć. Nie śmiej się pan. Przeżyłem chwile urocze i dotąd wspominam je z rozrzewnieniem. Zresztą, jestem trochę neurastenikiem. W naszych czasach żyje się tak gorączkowo. Trzeba niekiedy odpocząć. W takich razach system odosobnienia działa zbawiennie. Nigdzie go lepiej jak tutaj zastosować nie można.

— Panie Lupin — zauważył Ganimard.

— Panie Ganimard — oświadczył Lupin — mamy dzisiaj piątek, jeżeli się nie mylę. Otóż w przyszłą środę przyjdę do pana, na ulicę Pergolèse, o czwartej po południu, na cygaro.

— Będę czekał na pana.

Uścisnęli sobie dłonie, jak dobrzy przyjaciele, którzy się wzajemnie na swej wartości poznali. Stary detektyw skierował się do drzwi.

— Panie Ganimard!

— Inspektor się odwrócił.

— Co takiego?

— Zapomniałeś pan o zegarku.

— Zegarek?

— Tak... zabłąkał się do mej kieszeni.

Oddał zegarek, przepraszając mocno.

— Daruj mi pan... złe przyzwyczajenie... zabrali mi wprawdzie mój, lecz to nie powód, abym naśladował ich system postępowania. Tembardziej że mam bardzo dobry chronometr, na który się nie mogę uskarżać i kiedy na me potrzeby wystarcza w zupełności.

Wyjął z kieszeni duży, elegancki złoty zegarek z dewizką.

— A ten zegarek z czyjej pochodzi kieszeni? — zapytał Ganimard.

Arseniusz Lupin przyglądał się bacznie monogramowi.

— J. B... Do dyabła, któżby to mógł być?... Aha, już wiem!... Juliusz Bouvier, sędzia śledczy, który mnie badał, bardzo miły człowiek.

Ucieczka Arseniusza Lupin.

Arseniusz Lupin skończył właśnie obiad. Wyjął z kieszeni wyborne cygaro w złotej banderolce i przyglądał mu się z zadowoleniem. Wtem drzwi się otworzyły. Więzień ledwie zdążył ukryć cygaro w szufladzie i odejść od stolika. Do celi wszedł stróż wiezienny. Była to godzina przechadzki.

— Czekam na pana, kochany panie — zawołał Lupin, który nigdy dobrego humoru nie tracił.

Wyszli. Zaledwie znikli na zakręcie korytarza, do celi wsunęło się dwu ludzi. Jednym z nich był inspektor Dieuzy, drugim inspektor Folenfant. Rozpoczęli najszczegółowszą rewizyę.

Należało raz przecież skończyć z Arseniuszem Lupin. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że porozumiewał się ze swemi wspólnikami. Wczoraj jeszcze „Grand Journal“ ogłosił list następujący, pisany do sądowego sprawozdawcy tegoż dziennika:

„Szanowny Panie!

W ostatnim artykule wyrażasz się pan o mnie w sposób, którego nic usprawiedliwić nie zdoła. Na parę dni przed rozpoczęciem mego procesu, stawię się u pana, abyś mi ze słów swoich zdał rachunek.

Z uszanowaniem

Arseniusz Lupin.“

Pismo było niewątpliwie Arseniusza Lupin. Wysłał więc listy. Odbierał je również. Oczywiście przygotowywał ucieczkę, którą zapowiadał w sposób tak bezczelny.

Położenie stawało się nieznośnem. Projekt policyi Dudouis, po porozumieniu się z sędzią

śledczym, udał się osobiście do dyrektora więzienia w celu omówienia środków, które przedsięwziąć należało. Natychmiast po przybyciu posłał dwu agentów do celi więźnia.

Podnosili kolejno wszystkie płytki posadzki, przetrząsnęli łóżko, jednem słowem zrobili wszystko, co się w takich razach czynić zwykło. Nie znaleźli nic. Mieli już zaprzestać badania, gdy nadbiegł stróż wołając.

— Szuflada... Nie zapomnijcie o szufladzie od stolika... Gdy wchodziłem do celi, wydało mi się, że ją zasuwał.

Zajrzeli do szuflady. Dieuzy wykrzyknął:

— Na Boga! — tym razem trzymamy ptaszka.

Folenfant zatrzymał kolegę.

— Zaczekaj, mały. Prefekt spisze inwentarz.

— Patrzaj, to wyborne cygaro.

— Rzuć Hawannę i spieszmy do prefekta.

W parę minut później sam Dudonis przetrząsał szufladę. Na wstępie znalazł paczkę wycinków z gazet — zebranych przez agencyę „Argus de la Presse", a odnoszących się do Arseniusza Lupin, — dalej woreczek z tytoniem, fajkę, trochę papieru, łupinę od cebuli, wreszcie parę książek.

Spojrzał na tytuły: „Bohaterowie" Carlyle'a w wydaniu angielskiem i przepyszny elzewir w modernistycznej oprawie „Maksymy Epikteta", przekład niemiecki, wydany w Leydzie r. 1734. Dudouis przerzucił je pospiesznie i zauważył, iż wszystkie stronnice były pokreślone, opatrzone rozmaitemi znakami i dopiskami. Czy były to znaki umówione, czy też dowód jedynie, że właściciel książek studyował je z zapałem.

— Później rozpatrzymy to wszystko dokładnie — zadecydował Dudouis.

Przetrząsnął worek z tytoniem, fajkę, wreszcie natrafił na wyborne cygaro.

— Do dyaska!

Machinalnym ruchem palacza podniósł cygaro do ust i ścisnął mocno. Z piersi wyrwał mu się okrzyk. Pod naciskiem palców cygaro się spłaszczyło. Zaczął się przyglądać bacznie i zauważył między liśćmi tytoniu coś białego. Ostrożnie, za pomocą szpilki, wydostał rulonik papieru, cienki jak wykałaczka. Rozwinął go i przeczytał słowa, kreślone drobnem kobiecem pismem.

„Koszyki zamieniono. Ośm na dziesięć gotowych. Przycisnąć płytę prawą nogą. Płyta podnosi się z góry na dół. Od 12—16 codziennie, H—P czekać będzie. Lecz gdzie? Odpowiedz niezwłocznie. Bądź spokojny. Przyjaciółka czuwa".

Dudouis zamyślił się głęboko. Po chwili rzekł:

— To chyba dosyć jasne... koszyk. — Ośm. 12—16, to znaczy od 12-tej do 4 po południu.

— Lecz ten H—P, który ma oczekiwać?

— H—P, w tym razie oznacza, prawdopodobnie, samochód... horse-power... W języku sportowym tak się określa siła motoru. Dwadzieścia cztery H—P oznacza samochód o sile 24 koni.

Podniósł się i zapytał:

— Czy więzień zjadł już śniadanie?

— Tak.

— Kartki tej jeszcze nie odczytał — cygaro było nietknięte — prawdopodobnie otrzymał je przed chwilą.

— Jakim sposobem?

— Z zapasami żywności. Może w chlebie, a może w kartoflach... czy ja wiem?

— To niemożliwe. Władze zezwoliły mu na sprowadzanie posiłków z restauracyi dlatego, aby go wciągnąć w pułapkę. Dotąd nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

— Dzisiaj wieczorem poszukamy odpowiedzi Lupina. Tymczasem zatrzymajcie go na przechadzce, jak najdłużej. Zaniosę cygaro sędziemu śledczemu. List odfotografujemy niezwłocznie. Za godzinę włożysz pan do szufladki, wraz z innemi przedmiotami, takie samo cygaro, w którym umieścisz rulonik. Niech się więzień nie domyśla niczego.

Dudouis z pewną ciekawością wchodził wieczorem do kancelaryi więzienia, w towarzystwie inspektora Dieuzy.

W kącie, na piecu, leżały trzy talerze.

— No cóż? Czy Lupin już po kolacyi?

— Tak — odparł dyrektor więzienia.

— Panie Dieuzy! Zechciej pokrajać na drobniutkie kawałki resztki makaronu i zajrzyj do wnętrza tej oto gałki z chleba... Niema nic?

— Nic.

Dudouis sam obejrzał talerze, widelec, łyżkę, wreszcie nóż — zwykły zaokrąglony nóż więzienny.

Obracał go na lewo, potem na prawo. Nagle trzonek się rozluźnił i odśrubował. Wewnątrz był pusty, jak futerał. Znajdował się w nim mały zwinięty kawałek papieru.

— Ba — rzucił — jak na Arseniusza Lupin, pomysł za mało oryginalny. Nie traćmy czasu. Dieuzy, natychmiast rozpocznij pan śledztwo w restauracyi.

— Czytał, co następuje:

„Zdaję się na was. Niech H—P codziennie w pewnej odległości idzie za mną. Do prędkiego zobaczenia, moja droga, kochana."

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 19

(Ciąg dalszy.)

— Przeciwko trzem? z których każdy osobno trzykroć był mocniejszym od nas? — rzekł Pułaski. — Broniliśmy się do ostatniej godziny, mimo, że we własnym królu i własnych braciach mieliśmy nieprzyjaciół, co nam ręce wiązali, przenosząc ohydny spokój i niewolę nad szczerą, świętą walkę o swobodę...

Przybyły patrzał oczyma ciekawemi na ożywiającego się rozmową Polaka.

— I byliście zmuszeni... ujść — spytał.

— Ujść? nie, ale wyjść, by ginąć za wolność u obcych... — gorąco zawołał Pułaski. — Życie mam do zbycia, niech z krwi, jeśli nie kraj to sprawa skorzysta.

Nieznajomy milczał chwilkę.

— Szlachetne to postanowienie... — zaczął mówić powoli. — Nie znam dosyć dziejów kraju, do którego należycie, aby o nich sądzić — ale ze słów waszych wnoszę, że nie mogliście postąpić inaczej.

— Nie wolno mi było walczyć — dołożył Kazimierz — a w jarzmie żyć nie umiałem.

— Przybywacie tu sami?

— We trzech.

— Dawno?

— Przedwczora.

— Mówiliście już zapewne z kim? Macie tu znajomych? Może Kościuszkę?

— Nie, jest to nasz ziomek, ale go nie znam dotąd... choć jemu znane jest pewnie imie moje. Byłem u Lafayetta, któremu list przywiozłem od żony, mam także pisma Franklina i Deana do Washingtona.

Spojrzeli na siebie.. znowu było milczenie krótkie.

— A! widzieliście czcigodnego Benjamina naszego? — spytał przybyły.

— Wiele razy..

— I nie odradzał wam podróży do Ameryki?

— Nie, owszem. Przybyłem do Francyi z Turcyi z tem postanowieniem. Franklin mnie od niego nie odwodził.

— A przecież, przecież — przerwał nieznajomy — powinien był zrozumieć, na co was naraża...

Przyznam się wam, iż szanując, żałuje waszego poświęcenia... boję się, żeby nie było daremnem.

W tej chwili nie wiele tu sobie obiecywać możecie.

Ameryka chce i musi o własnych siłach się podźwignąć, honoru zdobycia swobody nie powinna dzielić z nikim, jest ona zazdrosną. Cudzoziemców mamy tu już wielu... zanadto. W naszym żołnierzu budzą oni niechęć, sieją zazdrość i nieufność, są żywiołem ciężko dającym się połączyć z nami.

— Jużem to wszystko słyszał od Lafayetta i trochę widział własnemi oczyma — rzekł Pułaski — nie łudzę się też wcale.

— Ale miałożby — dodał z goryczą — pierwszym swobody owocem być zapomnienie obowiązków braterskich? Wszakże nie przychodzimy do was wyzyskiwać waszego położenia — odpędźcie tych, co idą krew sprzedawać, ale gdzież się dla garści ludzi nikczemnych, poświęca zasady święte? wielką tą ideę — że jak za całą ludzkość, aby ją wykuć z kajdan, umarł Chrystus, — tak każdy z ludzi bratu powinien otworzyć dłoń i serce. — Wygnajcie tych, co przychodzą sobą frymarczyć, ale nie skąpcie przytułku wygnańcom bez ojczyzny, co złożyli dowody krwawe poświęcenia w sprawie wolności.

— Ktoż wy jesteście? — przejęty zapewne gorącością tych słów wymówionych z zapałem odezwał się nieznajomy.

— Kto jestem? — z pewną ironią smutną a poważną odpowiedział Pułaski — kto ja jestem? Moje nazwisko samo byłoby wystarczającą odpowiedzią w Europie.. tu, musiałbym wam mówić wiele, i niedowiedzielibyście się z tego, kto jestem. Słuchajcie! Było nas u starego ojca trzech braci, lat temu osiem, poszliśmy razem z nim wszyscy bronić — bronić ojczyzny — poświęcając jej mienie i życie. — Ojciec — spotwarzony, zdradzony, wydany obcym przez swoich, umarł w więzieniu, bracia moi padli w bitwach, a ja przyszedłem tu — umrzeć.

Byłem wodzem, dziś mi być dosyć — żołnierzem.

Milcząc uchylił nieco kapelusza z poszanowaniem nieznajomy, widać w nim było wzruszenie; w Pułaskim krew wrzała.

— Kto jestem! — mówił dalej — dziś biednym tylko rozbitkiem, dziś, dosyć, że jestem człowiekiem bez plamy, a z brzemieniem na ramionach. Miałożby to w Ameryce nie starczyć?

Amerykanin skłonił głowę.

— A, panie — rzekł — różne są wymagania czasu i okoliczności — nie jątrzcie się jeszcze przeciwko nam przedwcześnie. Wszystko się może dać ułożyć.

Potem zwracając rozmowę, odezwał się spokojnie.

— Widzieliście więc starego Bena?

— Tak jest, widywałem go często w Passy, mówiliśmy z nim długo o mojej i waszej ojczyźnie. Franklin nie tak niegościnną malował mi Amerykę, jak ją znajduję; on mi zrobił nadzieję, że lud wolności godzien potomkowi wolnego ludu dać w szeregach dwie stopy ziemi do boju a sześć stóp... na mogiłę... bo ja o więcej nie proszę.

— Ale i ja też, przebaczcie — przerwał nieznany mąż — wcale wam nie chcę odbierać żadnej nadziei... maluję wam tylko szczerze, otwarcie położenie nasze.

Przyjęcie do wojsk... nie zależy nawet od wodza, sam on podlega kongresowi i jest mu posłusznym; kongres wogóle jest nieufnym i źle usposobionym dla cudzoziemców. Mówił wam pewnie Lafayette, jak jego przyjęto.

— Tak jest, wspomniał mi o tem — rzekł Pułaski — ależ mnie także nie idzie o żaden stopień ani o pieniądze, dopóki choćby na suchar mnie stanie, mnie i dwom towarzyszom moim idzie o to, abyśmy się bili za wolność, tego dostąpim walcząc jako prości ochotnicy.

Amerykanin zamilkł i zwolna przysiadł na kłodzie blizko leżącej, podparł się na rękach, patrzał poważnie zamyślony.

— Darujcie mi, że was może trudzę rozmową — dodał po przerwie — dla nas Amerykanów pożytecznem wielce jest dowiedzieć się, jak żołnierz europejski widzi nasz kraj i sądzi nasze wojsko, obóz, ludzi.

— Trudno to — odrzekł Pułaski nieco ostygły — zdać sprawę z wrażenia, które się odbiło od powierzchni, głębiej sięgnąć nie mogąc. Gdybym miał szczerze powiedzieć wam co myślę, może by to niezbyt było dla was pochlebnem i miłem. Wojsko, obozy nie zbudowały mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

I słaba, przywiedziona do ostateczności, zwiesiła głowę na piersi i spuściła ręce.

Dixmer po gwałtownem na samym sobie wysileniu, ujął rękę Genowefy, zmusił ją, by podniosła głowę i patrząc jej w oczy, wybuchł śmiechem, który zapewne byłby się wydał Genowefie zbyt przymuszonym, gdyby sama mniej była wzruszoną.

— Widzę teraz o co chodzi — rzekł — w istocie masz słuszność. Byłem ciemny. Mimo całego rozsądku twego, kochana Genowefo, mimo całej twej wyższości, uwiodłaś się bagatelką, bałaś się, aby cię Maurycy nie pokochał.

Genowefa uczuła, że śmiertelne zimno wciska się aż do jej serca. Ta ironia męża o miłości, jaką Maurycy powziął ku niej, o miłości, której gwałtowność aż nadto dobrze ocenić mogła, znając charakter tego młodzieńca, o miłości nakoniec, którą w głębi serca podzielała sama, jak ją o tem przekonywały głuche wyrzuty, ta, mówimy, ironia w osłupienie ją wprawiła. Nie mogła wznieść oczu na męża, czuła, że nie zdoła mu odpowiedzieć.

— Wszak zgadłem? — zaczął znowu Dixmer. — No! uspokój się moja Genowefo, ja znam Maurycego; dziki ten republikanin prócz miłości Francyi, żadnej innej w swem sercu nie żywi.

— Panie — zawołała Genowefa — czyś mocno przekonany o tem, co mówisz?

— Eh! bez wątpienia — przerwał Dixmer — gdyby Maurycy kochał cię, zamiast poróżnienia ze mną, byłby owszem podwoił starania około dogadzania temu, którego oszukać zamierzył. Gdyby Maurycy kochał cię, nie byłby tak łatwo zrzekł się tytułu przyjaciela domu, który zwykle służy do pokrycia podobnych zdrad.

— Zaklinam cię na twój honor — zawołała Genowefa — nie żartuj i proszę cię, nie mów o podobnych rzeczach.

— Ja nie żartuję moja pani, powiadam ci tylko, że Maurycy nie kocha cię.

— A ja, ja — zawołała Genowefa, płonąc — powiadam ci, że się mylisz.

— W takim razie — zaczął znowu Dixmer — Maurycy jest uczciwy, bo wolał raczej oddalić się jak zdradzić zaufanie gospodarza swego; a że, moja Genowefo, rzadko teraz o uczciwych, nigdy więc nie czyni zanadto, kto się stara przyciągnąć ich ku sobie, jeżeli się usunęli. Genowefo, ty napiszesz do Maurycego, nieprawdaż?

— O! mój Boże — rzekła młoda kobieta.

I w obie dłonie utuliła głowę, bo ten, na kim ją oprzeć miała w chwili niebezpieczeństwa, zamiast zatrzymać, owszem sam w przepaść ją potrącał.

Dixmer patrzył na nią przez chwilę, a potem z wysilonym uśmiechem dodał:

— No, droga przyjaciółko, zapomnij o własnej miłości; jeżeli Maurycy zechce znowu występować z oświadczynami, śmiej się z nich tak jak pierwej. Znam cię Genowefo, masz duszę godną i wspaniałą. Jestem też pewny ciebie.

— O! — zawołała Genowefa, zsuwając się tak, że przyklękła na jedno kolane. — O! mój Boże! któż może być pewnym drugich, kiedy nikt nie jest pewnym siebie?

Dixmer zbladł, jakby mu wszystka krew do serca ściekła.

— Genowefo — rzekł — zbłądziłem, każąc ci doświadczać wszystkich cierpień, które dopiero doznałaś. Powinienem ci był powiedzieć od razu: „Genowefo, żyjemy w epoce wielkich poświęceń; ja więc naszej królowej, naszej dobrodziejce, poświęciłem nietylko moją rękę, nietylko moją głowę, ale nawet szczęście. Inni poświęcają jej swe życie, ja uczynię więcej, bo nietylko życie, ale i honor mój gotów jestem poświęcić, a jego utrata jedną łzą więcej zasili ocean boleści zamierzających zalać Francyę. Lecz ja honoru mego nie narażam, skoro go strzeże taka kobieta, jak moja Genowefa.“

Po raz pierwszy dopiero Dixmer odsłonił całą swą piękną duszę.

Genowefa podniosła głowę, wraziła w niego swe piękne oczy pełne uwielbienia, i zwolna powstając, podała swe czoło do pocałunku.

— Pragniesz więc tego? — spytała.

Dixmer dał znak potwierdzający.

— Dyktuj zatem — rzekła, biorąc pióro.

— O, nie! — powiedział Dixmer — przestańmy korzystać, a może nawet nadużywać dobroci tego zacnego młodzieńca, ponieważ pogodzi się znami wskutek listu, który ma otrzymać od Genowefy, niech więc list ten pochodzi od niej samej a nie od Dixmera.

I po raz drugi ucałowawszy czoło małżonki, podziękował jej i wyszedł.

Wówczas Genowefa drżąc, napisała:

„Obywatelu Maurycy!

Wiedziałeś, ile mąż mój kochał cię, miałżebyś zapomnieć o tem przez trzy tygodnie rozdziału, co nam się wiekiem być wydały? Przybywaj, oczekujemy cię. Powrót twój będzie dla nas prawdziwą uroczystością.

Genowefa.“

TOM DRUGI.

I.

Bogini rozumu.

Maurycy na prawdę był chory. Od czasu jak nie wychodził z domu, Lorin odwiedzał go regularnie i czynił co mógł aby go nakłonić do jakiej rozrywki.

Ale Maurycy był nieugięty. Są choroby, z których jakby naumyślnie wyleczyć się nie chcemy.

1-go czerwca Lorin przybył około pierwszej z południa.

— Cóż tam dziś tak nadzwyczajnego, żeś się tak wystroił? — spytał Maurycy.

W rzeczy samej Lorin ubrany był w całej formie, miał na sobie czarną czapkę, kaftan i trójkolorową szarfę, z pod której wyglądały dwa narzędzia, zwane podówczas flaszeczkami księdza Maury, pierwej zaś i później mianowane po prostu pistoletami.

— Naprzód — rzekł — nastąpić ma zupełny upatek żyrondystów, ale przy odgłosie bębna. W tej naprzykład chwili na placu Karuzelu, ogrzewają czerwone kule; a potem: mówiąc szczegółowo, po jutrze odbędzie się wielka uroczystość, na którą cię zapraszam.

— Ale dziś czy nie ma nic nadzwyczajnego? Powiadasz żeś po mnie przyszedł?

— Owszem, dziś odbędziemy próbę.

— Jaką próbę?

— Próbę wielkiej uroczystości.

— Mój kochany, wiesz, że od tygodnia nigdzie nie wychodzę; dla tego nie wiem co się dzieje, koniecznie więc potrzeba aby mnie kto objaśnił.

— Jakto! alboż ci nie powiedziałem?

— Nic mi zgoła nie powiedziałeś.

— Oto, mój kochany, wiesz już żeśmy skasowali na niejaki czas Pana Boga i żeśmy zastąpili Go przez Najwyższą Istność.

— Tak, wiem o tem.

— A więc jak się zdaje spostrzeżono, iż Najwyższa Istność jest umiarkowaną, należy do rolandistów i żyrondystów.

— Lorin, proszę cię, nie żartuj z świętych rzeczy; nie cierpię tego.

— Cóż chcesz, mój kochany, należy przecież być postępowym i stosować się do tegoczesnych pojęć. Ja także dosyć kochałem starego Boga, bom do niego przywykł. Ale Istność Najwyższa zdaje się że naprawdę błądzi, bo od kiedy siedzi tam wysoko, wszystko idzie na opak, i to sprawiło że prawodawcy nasi ogłosili jej upadek.

Maurycy wzruszył ramionami.

— Krzyw się i wzruszaj ramionami jeśli ci się podoba — rzekł Lorin — my jednak będziemy odtąd czcić boginię Rozumu.

— I ty koniecznie należeć musisz do tych wszystkich maskarad? — powiedział Maurycy.

— O! mój przyjacielu, gdybyś podobnie mnie znał boginię Rozumu, byłbyś pewno najzagorzalszym jej stronnikiem. Wiesz co, ja cię z nią zaznajomię, ja cię jej przedstawię.

— Dajże mi pokój ze wszystkiemi twemi głupstwami; widzisz przecie żem zmartwiony.

— Tembardziej, mój kochany, tembardziej! ona cię rozweseli, to bardzo poczciwa dziewczyna. Eh! ale ty ją znasz tę poważną baginię, którą Paryż pragnie ukoronować wieńcem i oprowadzać po ulicach na wozie ze złoconego papieru! Jest to... zgadnij...

— Jakże chcesz abym zgadł?

— Jest to Artemiza.

— Artemiza! — rzekł Maurycy napróżno przypominając sobie czy to imię nie zrodzi w nim jakiego wspomnienia.

— Tak, ta słuszna brunetka, którą poznałem roku zeszłego na balu opery; jadłeś przecie z nami wieczerzę i upoiłeś ją.

— Ah! prawda — rzekł Maurycy — teraz przypominam sobie: to więc ona?

— Tak, ona ma najwięcej powodzenia. Podałem ją za kandydatkę; wszyscy Termopiliści

przyrzekli mi swe głosy. Za trzy dni nastąpią powszechne wybory. Dziś przelewać będziemy szampańskie wino; kto wie może pojutrze krew własną przelejemy! Ale niech się przelewa co chce, Artemiza będzie boginią, lub mnie wszyscy dyabli porwą! No, pójdź, każemy jej aby przymierzyła swą tunikę.

— Dziękuję. Zawsze wstręt czułem do podobnych rzeczy.

— Do ubierania bogiń! Do licha! mój kochany, zbyt jesteś trudny. No, no! obaczymy może cię to rozerwie.

— Lorinie! jam chory i nie tylko straciłem wesołość, ale nadto wesołość drugich mocno mi dolega.

— Przestraszasz mię mój Maurycy! nie bijesz się teraz, nie śmiejesz; może ty przypadkiem knujesz jaki spisek?

— Ja? niech mię Bóg broni?

— Aha! chciałeś powiedzieć, niech mię broni bogini Rozumu!

— Zostaw mię Lorinie, ja nie mogę, ani chcę wyjść, ja leżę w łóżku i na krok się z domu nie ruszę.

Lorin podrapał się za ucho.

— Dobrze, dobrze — rzekł — pojmuję ja co to wszystko znaczy.

— I cóż pojmujesz?

— Że czekasz na boginię Rozumu.

— Na honor! — zawołał Maurycy — ci dowcipni przyjaciele są zbyt dokuczliwi; idź sobie, albo cię przeklnę razem z twą boginią.

— Przeklinaj, przeklinaj...

Maurycy podnosząc obie ręce, właśnia miał to uczynić, gdy w tem przerwał mu wchodzący jego oficyalista z listem do obywatela brata.

— Obywatelu Agezilaus — rzekł Lorin — w złą chwilę przybywasz; twój pan właśnie miał być przewybornym.

Maurycy opuścił rękę i mimowolnie po list sięgnął; lecz zaledwie dotknął go, natychmiast zadrżał i chciwie zbliżając do oczu, wzrokiem pożerał pismo i pieczątkę, którą rozerwał bledniejąc jakby mu się słabo robiło.

— O! ho! — mruknął Lorin — interes nasz wyjaśnia się jak widzę.

Maurycy nic nie słyszał, całą duszą czytał kilka wierszy listu Genowefy, a powtórzywszy to raz, drugi, trzeci i czwarty, otarł czoło, opuścił ręce i błędnym wzrokiem spojrzał na Lorina.

— Do djabła! zdaje mi się, że list ten zawierać musi nielada wiadomość.

Maurycy po raz piąty odczytał list Genowefy i nowy rumieniec przebiegł mu po twarzy. Wyschłe oczy jego napełniły się łzami, głębokie westchnienie pierś mu rozszerzyło; potem nagle zapominając że chory, że osłabiony, wyskoczył z łóżka.

— Moje suknie — zawołał na zdumiałego sługę, podaj mi moje suknie, kochany Agezilausie! Ach! biedny mój Lorinie, od trzech dni oczekiwałem tego listu, ale prawdę mówiąc wcale się go nie spodziewałem. Tak, tak, spodnie białe, koszula z żabotami, ufryzuj mię i ogol natychmiast.

Sługa jak mógł najspieszniej wykonał wszystkie rozkazy Maurycego.

— Oh! obaczę ją znowu, obaczę! — zawołał młodzieniec. — Lorinie, doprawdy nie wiedziałem dotąd co to jest szczęście.

— Mój biedny Maurycy — rzekł Lorin — sądzę że koniecznie potrzebujesz odwiedzin, które ci radziłem.

— Przebacz, kochany przyjacielu — zawołał Maurycy — przebacz; lecz w istocie, zdaje mi się żem stracił rozum.

— No to ja ci mego odstąpię — rzekł Lorin śmiejąc się z tak okrutnego kalemburu, gdyż to Artemizę nazwał swym rozumem.

Co dziwniejsza Maurycy także się roześmiał. Szczęście i jemu powróciło chęć dowcipkowania. Lecz nie na tem się skończyło.

— Masz — rzekł ucinając pokrytą kwiatem pomarańczę — ofiaruj ten bukiet odemnie, zacnej wdowie Mauzoleja.

— Brawo! — zawołał Lorin — otóż to mi galant! przebaczam ci. Zresztą uważam żeś niezawodnie rozkochany, a ja zawsze szanuję wielkie nieszczęścia.

— No, tak! jestem rozkochany — zawołał Maurycy wybuchając radością; jestem rozkochany, mogę teraz przyznać się do tego bo i ona kocha mię skoro przyzywa, wszak prawda Lorinie?

— Bez wątpienia — uprzejmie odpowiedział wielbiciel bogini Rozumu; ale strzeż się Maurycy, sposób w jaki rzecz tę uważasz przeraża mię...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Teraz przychodziły mu na pamięć wszystkie gorycze, które pił z kielicha, co miał pełen nektaru, z kolei przypomniał wszystkie jej wyrazy, któremi ciskała nań jak kamieniami. Odbiły się one, ale blizny po nich bolały teraz. Obraz kobiety, która mu się wydawała aniołem, potem wieszczką, Wellidą jakąś, ideałem, powoli zmienił się w Eumenidę... Stosunek jej z Arnheimem teraz dopiero z całym cynizmem swym stawał przed nim... Nie kryli się wcale z uwielbieniami wzajemnemi... sto razy widział ich z dłonią w dłoni siedzących i szepczących jakieś tajemnice, nie bolało go to naówczas, — bolało teraz dopiero i oburzało.

Lecz to życie było skończone — nowe późne należało rozpocząć... Z pewnością została mu tylko Lischen z szafirowemi oczyma, z różową buzią, ze świeżym uśmiechem dziecka, co się zaledwie budzi do żywota...

W takich marzeniach, pół senny, na pół czuwający dotrwał do dnia... Spojrzał na zegarek licząc chwile, gdy się będzie mógł garbusa doczekać. Szczęściem Lischen spała smaczno i budzić się nie myślała.

Miasto ożywiać się zaczynało, dając pierwszy znak życia, bo już po niem słychać było maszerujących żołnierzy... Wolski rachował na to, że garbusa list zastanie w domu; — nie omylił się szczęściem: zaledwie przyodziawszy się jako tako, Wojtuś z rozrzuconemi włosami wpadł do pokoiku. Wolski prosząc go o cichość wskazał na uśpioną Lischen.

— Ratuj mnie! — zawołał — w tobie pokładam nadzieję, kieruj, rozkazuj, mów — ale mnie nie opuszczaj, mnie i dziecka. Bez niego nie mogłem opuścić tego domu.

— Bądź spokojnym — szepnął garbus — prędzej czy później czemś podobnem historya twoja skończyć się musiała. — Powiedz, jak do tego przyszło; rozstając się wczoraj nie zdawałeś się wcale usposobionym do takiego coup de tête czy coup d'état.

Wolski począł opowiadać całą scenę z żoną, którą garbus zdawał się odczuwać całem sercem i burzył się za dwóch.

— Teraz — rzekł wysłuchawszy — gdy się dziecię obudzi i my je napoimy i nakarmimy, dorożkę bierzemy, jedziemy szukać mieszkania, ja piszę do domu, aby ci na prowincyi wskazano miejsce, gdziebyś mógł osiąść. — Nim się czegoś dorobisz, zostawuję ci tysiąc talarów, tylko ani podziękowań — ani słowa.

Ścisnęli się za ręce.

Wojtuś spojrzał na zegarek, było pół do dziesiątej. — Zwolna podniesiono stor, wpadło światło i Lischen otworzyła oczy.

— Od jutra — rzekł patrząc na nią Wojtuś — panna zacznie uczyć się po polsku.

Lischen obudziła się w niezłym humorze, choć nieco zdziwiona, że ani Miny, niańki, ani babki nie widać było i miejsce jakoś obce.

Ojciec jej, wziąwszy ją na kolana, potrafił wytłomaczyć, a nadewszystko pomogła do rozweselenia kawa i sucharki. — Wojtuś patrząc na dziecię posmutniał.

— Nawet w biedzie ty jeszcze jesteś szczęśliwszy odemnie — rzekł — taką uśmiechniętą twarzyczkę aniołka unosisz z sobą z rozbicia! Nie dośćże tych dwojga niebieskich oczów niewinnych, aby rozpromienić kątek, w którym się żyć będzie?

Wolskiemu łzy zakręciły się w oczach, z goryczą w sercu pomyślał w duchu, że nikt nie zgadnie, co piastuje w dziecięciu — pociechę czy zawód — anioła czy niewdzięcznika?

W kamienicy radzcy komercyjnego raniej niż zwykle pobudzili się wszyscy, możnaby raczej powiedzieć, że oprócz samego pana, który nad rankiem chrapać zaczął — nikt oka nie zmrużył. Na drugiem piętrze baronowa oznajmiła służbie, że mąż jej w nocy wyjechał z Lischen, aby jej ospę zaszczepić i wywieźć ją z okolicy tej, gdzie się naturalnie pokazywać zaczynała. Bajka była nie źle skomponowaną, ale słudzy słuchali trochę podedrzwiami a więcej się jeszcze domyślali. Co

gorzej, na pierwszem piętrze nie naradziwszy się z córką radzca swoim zapowiedział, że ktoby o zniknięciu barona z córeczką śmiał mówić, ten natychmiast wygnany zostanie. Podług jego własnego wyrażenia — nakazał wszystkim — „stulić pyski". Nie było to parlamentarnie ale bardzo dobitnie i zrozumiale.

Służba między sobą komentowała wypadek nocny w najrozmaitszy sposób, biorąc stronę pani więcej niż pana. Pomimo najsurowszego zakazu a może właśnie z powodu, iż to było tak surowo zakazanem, nie mogli się słudzy wstrzymać od poufnych zwierzeń z warunkiem dochowania tajemnicy. I była tak dobrze zachowaną, że około południa bajka o doktorze, który nocą z dzieckiem znikł bez wieści — chodziła po całym Berlinie. Wśród innych jednak równie dramatycznych historyi o pobitych czeladnikach krawieckich, morderstwie na Hasenhajde i samobójstwie w loszku na ulicy Komendantów, historya doktora przeszła, nadzwyczajnego nie wywarłszy wrażenia.

Gdy ojciec wstał — Helma blada ale ostygła już znacznie zeszła na pierwsze piętro. Radzca pił kawę z równym apetytem jak zwykle i był zupełnie spokojny.

— Nie mamy się czego trwożyć — mówił — lada chwila on sam albo inny parlamentarz się ukaże albo mi list przyniosą. Ja się znam na tych sprawach.

Przyniesiono wprawdzie „Börsenblatt" radzcy i kilka listów handlowych, ale spodziewanego nie było. Ile razy zadzwoniono w przedpokoju, Helma wyglądała ostrożnie, ale nie było nikogo. Posłała się dowiedzieć na górę — i tam się nikt nie zgłaszał.

O południu radzca komercyjny zaczął chodzić po pokoju i kląć Polaków. Helma milczała, ale gniew w niej rósł znowu. Jakkolwiek najmniej kochała Lischen, która była do Wolskiego podobną — jako matce tęskno jej było za dziecięciem. Babka płakała w kątku, lecz że radzca łez nie lubił, kryła się z niemi.

Na obiad poszła Helma do siebie, przypomniawszy sobie, iż Arnheima prosiła, który i nieproszony prawie codzień przychodził. I tym razem przyszedł o zwykłej godzinie, z uśmiechem podając rękę przyjaciółce. Wczoraj właśnie mówili o Wolskim, nie z wielką dlań sympatyą — uważany był bowiem za rodzaj tyrana niegodnego takiej niewiasty — i doktor Arnheim rozpoczął rozmowę od cichego:

— Pewnie i dziś go nie będzie?

— Nie wiesz więc, co się stało? doktorze — podchwyciła żywo Helma — zdaje się, że twe oczy przyjacielskie winne były z mej twarzy wyczytać, com przecierpiała. Wystaw sobie, ten człowiek śmiał, zrobiwszy mi najokropniejszą scenę w nocy...

Arnheim zbladł i zmieszał się jakby uczuł winnym.

— Ten człowiek... pochwyciwszy Lischen uszedł z domu, ani wiem dotąd, co się z nim stało.

Doktor zdziwienie okazał, ale zarazem zafrasowanie jakieś dziwne.

— Przecież nie było żadnego powodu?

— Oprócz żem mu dała uczuć niewłaściwość jego postępowania.

Zamyślił się pan Arnheim i przeszedł razy parę.

— W istocie — rzekł — to wypadek bardzo — bardzo przykry. Kochana pani — dodał ciszej — nie dziwuję się bynajmniej jej usposobieniu, jej eksasperacyi — lecz — czy nie za gwałtownie dałaś mu uczuć?

— A! być może — nie byłam panią siebie. Rozgniewany na mojego ojca za fraszkę, chciał mu i nam wszystkim dać to uczuć, przez cały dzień nie pokazując się w domu. Takie postępowanie...

— Lecz skądże przyszło?

— Zaczął mi czynić wymówki — pojmujesz! On! mnie! (uśmiechnęła się niby męczennicą czyniąc) nareszcie oburzenie otwarło mi usta, wszystek żal z piersi wybuchnął. Taka niewdzięczność!...

Arnheim stał skromnie patrząc w ziemię.

— A! to się jakoś załagodzi — rzekł.

— Dotąd nie dał nawet znać o sobie.

Rozmowa przeciągnęła się do obiadu, doktor Arnheim był poważny i zamyślony, pani gniewna, chłopcy natrętne dopytywały o Lischen. Zbywano je to tem, to owem.

Natychmiast po kawie przyjaciel domu pod pozorem przygotowania do odczytu na korzyść jakiegoś protestanckiego Vereinu wysunął się pospiesznie z salonu.

Helma towarzyszyła mu do pierwszego piętra. Tu spodziewała się może znaleźć jakąś wiadomość.

Radca siedział w fotelu kwaśny, nie było ani posłańca ani listu.

Obrót, jaki sprawa przybierała, nie podobał się wszystkim, rachowali na jakieś układy i załatwienie skandalu.

— Ale któż kiedy Polaka odgadnie? — mówił w końcu radzca komercyjny — w tych głowach pali się zawsze i sami nie wiedzą, co czynią.

— Jeżeli do godziny czwartej nie odbiorę nic — odezwał się po namyśle — sądzę, że mi wypadnie pójść do mojego przyjaciela, pana dyrektora policyi i zwierzyć mu się z przygody. Przyjdzie nam w pomoc.

— Chociaż — dodał jakby sam do siebie — właściwie o co mamy prosić? na co się to zdało! O pana barona Wolskiego nie mam się co dobijać tak bardzo. Lischen... hm!

Ręką machnął.

— Tylko wy po Lischen płakać będziecie, gdyby dziecka nie zabrał, kroku bym nie uczynił. Sądzę, że Helma prędkoby się pocieszyła.

Radczyni i Helma były tego zdania, ażeby czekać jeszcze.

Kobietom przykro było w tę przygodę wtajemniczać obcych.

Radzca przeciwnie nawykł był wszystko i zawsze czynić z pomocą i za wiedzą władz rządowych, zdawało mu się, że popełniał defraudacyę nie donosząc o tem dyrektorowi policyi.

Tak stały rzeczy ku wieczorowi; ile razy kobiety występowały z radami, Riebe już zniecierpliwiony okazywał największe oburzenie i milczeć im kazał. Po czwartej wziął za kapelusz i wyszedł z domu.

Zaledwie piętnaście kroków odszedł od niego, gdy z zamku jadący szybko w powozie ukazał mu się ów przyjaciel, jak go zwał w domu — a w istocie ekscelencya w ulicy, pan dyrektor policyi.

Zdjął kapelusz i przywitał go z uszanowaniem należnem wysokiemu dostojnikowi, zwróciwszy się doń frontem. Miarkował z boleścią, iż go w domu nie znajdzie, i podniósł oczy pełne żałości, by spojrzeć za odjeżdżającym, gdy nadspodzianie dostrzegł, iż powóz wstrzymany i ekscelencya dawała mu znaki, aby się zbliżył. Jakkolwiek nieco ciężki ruszył gimnastycznym kłusikiem.

Dyrektor siedział w powozie.

— Nie mylę się? Radzca komercyjny Riebe.

— Von Riebe — do usług — Waszej ekscelencyi.

— A! to dobrze, że go spotykam.

To mówiąc wysiadł i odprowadził radzcę na stronę.

— Co się u was w domu stało? — spytał.

— W. eks. już uwiadomioną? — zawołał przerażony Riebe.

— Kochany radzco — jakimżebym był dyrektorem i stróżem bezpieczeństwa publicznego, gdybym o tem, co się dzieje w stolicy, nie wiedział.

— Sprawa natury czysto prywatnej — odezwał się radzca wdzięcząc, — ale przyznam się, szedłem szukać pociechy i rady na łonie Waszej ekscelencyi.

Dyrektor się uśmiechnął kręcąc wąsa.

— Właściwie w dwóch słowach — rzekł na zegarek spoglądając — co to jest?

— Jest trudna kwalifikacya, ucieczka męża od żony z porwaniem dziecka.

— Swojego własnego?

— Tak jest — niechybnie! — zawołał radca — nocą, po północy.

— Czy zabrał więcej co z sobą, nie należącego do niego?

— Nie — o ile wiem.

— Nic z kasy waćpana?

Radzca na samo przypuszczenie się wzdrygnął.

— Zatem niema tu potrzeby interweniować urząd — sprawa familijna. Spór z żoną, który się załagodzi.

Cieszę się z tego.

Dyrektor chciał pożegnać już radzcę i ruszył się z miejsca, gdy ten poskoczył za nim.

— W. eks. wszystko wiadomo, zatem i miejsce pobytu zbiega.

Dyrektor spojrzał w górę i zamyślił się nieco.

— Nocował w hotelu pod Lipami, a teraz najęli mu mieszkanko obok profesora Cyliusa. Znasz waćpan starego Cyliusa?

— Radzcę tajnego zdrowia?

— Tak jest.

— Zna go mój krewny, pastor, z blizka, ja z daleka.

Na tem się skończyła rozmowa i Riebe prędzej daleko, niż sądził, do domu zawrócił, cały przejęty tą uprzejmością i dobrocią, z jaką wysoki urzędnik raczył go przyjąć i publicznie z nim rozmawiać w ulicy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Matki i córki.

W powieści swej „Ojcowie i Synowie“ przedstawił nam Turgeniew zatargi pomiędzy młodymi, rzucającymi się bez krytyki i bez namysłu w nowe prądy umysłowe i ginącymi marnie, a starymi, trzymającymi się dawnych zasad i przekonań. Z jednej więc strony młodość i brak wszelkiej rozwagi, z drugiej wiek podeszły i dużo doświadczenia, — lecz tam dążenie naprzód — tu cofanie się w przeszłość. — Przeciwieństwa te przybrały przed pięćdziesięciu mniej więcej laty, w Rosyi bardzo ostre formy, lecz nie były nowemi. Jest to rzecz tak stara, jak starym jest świat i powtarzająca się zawsze tam, gdzie rozwijanie umysłów na nowe wchodzi drogi.

I my żyjemy w takich czasach. Zatargi i nieporozumienia, jakie nam Turgeniew skreślił pomiędzy ojcami i synami, dawają się i u nas uczuwać pomiędzy matkami i córkami, w łagodniejszej jednak formie.

Kwestya kobieca od niedawna dopiero u nas powstała. Nadzwyczajny rozwój przemysłu, wynajdywanie coraz to nowych maszyn i większa liczba kobiet niż mężczyzn, wszystko to zmusiło kobietę do szukania pracy i zarobku po za domem. I zwolna stało się „prawo pracy i zarobku“, którego nikt „niższym stanom“ nie odmawiał, też i prawem „wyższych stanów“. Kobieta musiała wyjść z domu, aby zużytkować swoje siły.

Przewrót, jaki to wywarło, był nietylko zewnętrznym, pewność siebie kobiety i poczucie własnego „ja“ wzrastałą z każdą chwilą. Niezależna już od męzkiego opiekuna i żywiciela, zażądała i ona dla siebie tego, co dotąd tylko mężczyźnie przysługiwało, to jest: wolności i samodzielności. Naturalny zawód kobiety jako żony i matki stanął na drugim a nawet i na ostatnim planie — społeczeństwo uznało dążność kobiety, i otworzyło jej chętnie podwoje do wszelkich zakładów naukowych. Nie ma dziś prawie ani jednego wydziału naukowego, nie przystępnego tak kobiecie jak i mężczyźnie, bo też kobiety, nawet te, których konieczność do tego nie zmusza, wybierają sobie zawody, do których dawniej nienadawały się na pozór wcale.

Ale jak każda rzecz ma swoje dwie strony, tak i emancypacya kobiet posiada je również.

Jak na zewnątrz zyskała kobieta stanowisko, niezależność i wolność, tak z drugiej strony straciła te właśnie przymioty, które najwięcej u niej ceniono. Słodycz i urok kobiecości zamieniły się w stanowczość, skromność w samodzielność, uległość w pewną zarozumiałość; znajomość gospodarstwa domowego stała się dla niej niepotrzebną i wszelkie straciła znaczenie — (zajęcie się kuchnią było niegodnem kobiety, dążącej do wyższych celów!) i żadnej już wyższej powagi uznać nie może! Wszakże pragnie się stać podobną mężczyźnie i dowieść, że może mu pod każdym względem dorównać.

Że w pierwszych czasach ruchu kobiecego stawały się kobiety często karykaturą, o tem wiemy wszyscy, lecz im więcej doznawały poparcia, tem mniej stawały się śmiesznemi. Dzisiejsze kobiety nauczyły się znowu zatrzymywać to, co im najwięcej dodaje wdzięku, i nabrały przez to większej siły do własnego użytecznego trybu życia.

Nasze córki zwyciężyły na całej linii, a matki zostały pobite.

„Matka“ jest tragiczną postacią naszych czasów. Wychowana w innych warunkach i tradycyach, innemi żywiona ideami, nie może pojąć idei i dążności córki. Ona uważa jeszcze zawsze małżeństwo za jedyne dla swego dziecka szczęście, a mając więcej doświadczenia i mądrości życiowej, wie, że mężczyzna wyższych stanów woli składać hołdy piękności salonowej lub uroczej dzieweczce w zaciszu domowem, niż młodej dziewczynie, zajętej pracą zawodową. Panienki wychowane podług „starej mody“, ładne, uprzejme i mające trochę majątku, — te właśnie najprędzej wychodzą za mąż. A która matka nie życzy sobie uchronić córki od smutnego — podług jej zdania — losu starej panny?

Matka dzisiejszych czasów nie pojmuje, że „dziecko“ stawia jej opór, że nie chce chodzić na bale i nie chce się wystawiać na „targu małżeństwa“! I zatargi i nieporozumienia są na porządku dziennym! Najgorzej zaś wtenczas, gdy córka chce iść za mąż! *Przeciętna* matka uważa za najlepszą partyą tego, który na zewnątrz najświetniej się przedstawia, — córka chce tego, którego kocha, bez względu na to, czy wybrany jej serca ma pieniądze czy nie. W razie oporu rodziców uważa sobie nawet za obowiązek nie zważać na to, — ma prawo do szczęścia a więc

korzysta z niego i wychodzi za mąż bez pozwolenia ojca i matki.

Ale i bez kwestyi małżeńskiej jest zawód jakiś u córki w przekonaniu matki czemś niezwykłem, a czasem nawet wprost niewożliwem. Matka jest tego zdania, że kobiety miejsce jest w domu. I nawet tam, gdzie córka jest zmuszoną do szukania zarobku, powinna wybrać zawód, pozwalający jej na życie wśród rodziny. Ale jak trudno jest nieraz połączyć obowiązki domowe z obowiązkami zawodu! Jeżeli córka z własnej woli i z przywiązania dla familii zostaje w domu rodzicielskim, to dobrze, — lecz jeżeli czyni to pod przymusem, to niesłuszność jest jedynie po stronie rodziców.

W celu uzyskania upragnionej wolności dąży dziś mnóstwo dziewcząt do naukowych studyów lub do wykształcenia artystycznego, nie mając ani powołania ani potrzebnych zdolności do wybranego zawodu. I wtedy koniec bywa taki, że wracają do domu — zmęczone i pokorne, ze złamanemi skrzydłami. Niektóre zwiększają smutny zastęp miernych artystek w malarstwie, muzyce itp. i walczą ciężko o byt. Ponieważ zaś taki rodzaj obierania zawodu ani córki nie wywyższa, ani społeczeństwu żadnej nie przynosi korzyści, przeto możnaby tu obrać pośrednią drogę: niechby się matki nauczyły uważać córki za istoty samodzielne i pozostawiły im swobodę i wolny wybór domowego zajęcia.

Mam tu na myśli naturalnie tylko te matki, które zatrzymują córki w domu dla własnej pomocy. Umęczona pracą pani domu, poświęcająca siły swe przez długie lata dla męża i dzieci, pragnie mieć pomoc i podporę w dorosłej córce, — lecz odmawia jej przytem wszelkiej samodzielności. I nie rozumie, że córka uważa siebie za pokrzywdzoną i że zazdrości siostrom lub przyjaciółkom ich swobody i wolności. Jej pracę uważa matka za obowiązek, za wypełnienie którego nie uważa nawet za potrzebne podziękować jej. Nie byłoby może lepiej, gdyby się córce płaciło za tę pracę tak, jak się płaci każdej pomocnicy lub wyręczycielce pani domu? Zajęcia kobiece stanęłyby może na wyższym szczeblu i nie gardzonoby niemi tak, jak obecnie młodsza generacya niemi gardzi. Niejedna młoda dziewczyna, która w głębi serca więcej ma chęci do gotowania niż do grania na fortepianie, poświęciłaby się z przyjemnością temu zawodowi, gdyby osięgła nim tę samodzielność w domu, którą jej daje każdy inny zawód.

Tylko ta matka, która idzie odważnie z biegiem czasu naprzód, stanie się dla córki dziś jeszcze tem, czem jej być powinna: przewodniczką, towarzyszką i przyjaciółką. Jeżeli jest tem, to nie ma dla córki lepszej w życiu opieki, jak szacunek i miłość dla matki, jak szczęśliwy dom rodzicielski, któremu zawdzięcza najprzyjemniejsze w życiu chwile, najmilsze wspomienia i do którego każdej chwili z radością wrócić pragnie.

M. P.

Dziecko w świetle hygieny.

III.

Jak ochraniać dzieci od chorób zakaźnych.

W poprzedniej pogadance zaznaczyłam, że zniszczyć i usunąć źródła zarazy można za pomocą odkażania. Za podstawę i punkt wyjścia dezynfekcyi można uważać fakt, iż drobnoustroje chorobotwórcze giną bądź w wilgotnej temperaturze wrzenia, bądź wskutek działania rozmaitych środków t. zw. odkażających (np. karbol, sublimat i t. p.) Ponieważ najgłówniejszem źródłem zarazy jest przedewszystkiem chory, przeto pierwszym i najgłówniejszym obowiązkiem jest odosobnić chore dziecko od zdrowych, o ile to tylko jest możliwem, najszybciej. Mówiliśmy także, że zarazki mogą być przeniesione przez bieliznę, pościel, sprzęty i wogóle to wszystko, co z chorym miało styczność; stąd wniosek, że należy umiejętnie się obchodzić zarówno z wydzielinami, bielizną osobistą z pościeli, jako też z naczyniami, używanemi przez chore dziecko. Umiejętność ta polega na zbieraniu wydzielin chorego dziecka (plwociny, ropy, moczu, kału i t. p) do naczyń napełnionych roztworem karbolu (łyżeczka na szklankę wody), a po zachowaniu ich tam co najmniej 6 godzin, wylewać do zlewów. Naczynia użyte do picia i jedzenia wkłada się do garnka z roztworem sodowym (pół łyżeczki sody na szklankę wody) i wygotowuje w pokoju chorego. Bieliznę osobistą dziecka i z pościeli należy włożyć do naczynia z sodą (2%) i gotować przez godzinę.

Co się tyczy pokoju, w którym dziecko przebywa, to należy w nim zachowywać pedantyczną czystość, nie zbierać kurzu na sucho, nie wytrząsać prześcieradeł na podłogę. Kurz najlepiej jest zbierać za pomocą ścierki, umaczanej w roztworze sublimatu (1 : 1000). Podłogi zmywać często roztworem sublimatu (1 : 1000).

Celem uchronienia od szerzenia zarazy przez wdychanie powietrza w pokoju chorego, nietylko nie należy zbierać kurzu na sucho, lecz trzeba utrzymywać i ciało dziecka w czystości (zazię-

bienia przez mycie obawiać się nie trzeba), przy ostrych zaś wysypkach smarować ciało dziecka waseliną lub oliwą, w celu zapobieżenia odrywaniu się suchych łuszczek skóry.

Po przebytej chorobie odesłać do specyalnego zakładu dezynfekcyjnego pościel, oraz wydezynfekować mieszkanie za pomocą lampy i formalinowych pastylek, a zabawki i książki, któremi się bawiło dziecko podczas choroby, spalić. O ile można, zniszczyć tapety, lub kazać świeżo wymalować pokój, w którym chore dziecko przebywało.

Wszystkich tych przepisów powinny przestrzegać ściśle osoby, dozorujące chore dziecko. Ażeby zapobiedz przenoszeniu zarazków przez osoby pielęgnujące chore dziecko, powinny takie osoby nosić specyalne fartuchy, okrywające całe ubranie, myć ręce roztworem sublimatu (1 : 3000), twarz i włosy spirytusem, przebierać się i kąpać, o ile wychodzą na miasto.

Wiemy zatem, co czynić podczas choroby i po niej, by nie dopuścić do przenoszenia zarazków. Przepisy nasze są dostępniejsze i mniej energiczne może od mojżeszowych przepisów dezynfekcyi po wyzdrowieniu z chorób zaraźliwych, brzmiały one bowiem jak następuje:

„Powinieneś obciąć sobie wszystkie włosy, nie tylko na głowie, lecz i na brodzie i brwiach, wyprać swe ubranie i wykąpać się w wodzie“.

Niestety, nie wszyscy zachowują się jak należy, gdy w domu zapadł kto na chorobę zakaźną — a jednak nieco chęci, nieco starań i dobrej woli, a ileżby mniej było wylanych łez z powodu straty drogich nam istot!

Dr. med. Matylda Biehler.

Z dziedziny mody wiosennej.

W tych dniach odbyła się w salach Tow. ogrodniczego w Wiedniu oryginalna zabawa dla pań, zabawa, której istotną część stanowiła rewia nowych, wiosennych toalet i kapeluszy. Wzór tego rodzaju rewii wzięto z Londynu, gdzie starym zwyczajem wielkie firmy, sprzedające towary z zakresu konfekcyi damskiej, zapraszają odbiorczynie swych towarów na ciastka i lody, naturalniu w tym celu, aby panie, siedząc wygodnie przy stolikach, rozmawiając o rozmaitych rzeczach lub słuchając muzyki, mogły się z uwagą przyjrzeć nowym kreacyom mody. Do zademonstrowania nowych strojów służą panny urodziwe, kształtne, których jedynem zadaniem jest, wdziać na siebie strój najnowszej mody i przechadzać się wolno pomiędzy stołami tak, aby nowe stroje mogły być ze wszystkich stron dokładnie obejrzane. Panny takie zwą się „mannequins“. Otóż takie żywe manekiny oglądano także we Wiedniu. Na rewię zgromadziło się mnóstwo dam w wykwintnych strojach bądź spacerowych bądź wieczorkowych, muzyka grała, podziwiano nowe wytwory mody wiosennej, omawiano je aż do najdrobniejszych szczegółów i bawiono się znakomicie. Główna sala była wspaniale udekorowana; na środku sali znajdowało się wzniesienie, pokryte dywanem a na wzniesieniu tem stał fotel tronowy, jaśniejący szkarłatem i złotem. Dla „manekinek“ były urządzone osobne garderoby. Jeszcze przed godziną 5 zaroiła się sala od kobiet wytwornych i przeważnie pięknych.

Przed rewią odbyły się produkcye muzykalno-wokalne. Jedna z wybitniejszych artystek odśpiewała szereg pieśni, poczem zjawiła się królowa mody, we wspaniałej sukni z żółtej gazy na różowem tle, z wielkim trenem z aksamitu i złotogłowia, ustrojona w rokokowe wieńce i srebrne wstęgi. We włosach błyszczał dyadem z brylantów. Tuż za królową postępowali dwaj biało ubrani paziowie. Królowa oddeklamowała prolog i usiadła na tronie. Heroldowie oznajmili potem przed zjawieniem się „manekinek“, z jakich salonów pochodzą ich stroje, w jakich pracowniach skomponowano ich drogie kapelusze, jakie firmy dostarczają parasolek, przez nie okazanych. Wnet po obwieszczeniach heroldów zjawił się rój postaci jak z bajki w czarujących kostyumach, w delikatnych, wiotkich, rzecby się chciało wonnych toaletach letnich, w kapeluszach o kształtach oryginalnych. Niektóre panny miały na sobie niezwykle pięknie przykrojone płaszcze i trzymały w rękach parasolki pełne wdzięku.

Z pośród rozmaitych okazów mody wyróżniały się najbardziej następujące toalety i kapelusze:

Sensacyjna drap de soie princessowa toaleta, przybrana w czarny tiul. Spodnica efektownie kamieniami i czarnemi perłami w bizantyńskim stylu wyhaftowana. Na dole szeroka obsada z liberty. Gors w bizantyńskim stylu zawieszony perłami. Dekoltaż obrzeżony różowemi różami. Powiewne rękawy z motywami żetowymi. Popołudniowa toaleta z niebieskiej liberty, ozdobionej szerokimi oryentalnymi haftami. Stan również osnuty tym samym oryginalnym haftem.

Podziw wywołała dekoltowana w liliowym i złotym tonie utrzymana toaleta liberty'owa.

Biała batystowa toaleta na różowem tle, z fenomenalnym czarnym kapeluszem z różowemi piórami czaplemi, które zakrywały cały kapelusz.

Widziano też bardzo szykowne kostyumy, między innymi np. wspaniałą turkusową suknię liberty'ową z girlandami z róż i arabeskami ze srebrnych haftów i czarną toaletę charmeuse w bizantyskim stylu.

Z kapeluszy najbardziej zachwycały: wspaniały, w staroangielskim stylu utrzymany, ogromny, biały kapelusz z koronek, któremu dodawała niezwykłego wdzięku niezwykle duża pleureuse, białą i różową barwą nakrapiana. Brzeg wewnętrzny był z czarnego aksamitu.

Powszechną uwagę zwracał kapelusz różowy z koronek, z czaplem piórem, które go zupełnie zakrywało. Zachwycająco wyglądał także biały „cloche“ uwieńczony kwieciem.

Bardzo wytwornie przedstawiały się: kapelusz florentyński, z przodu lekko odchylony do góry, ustrojony w poprzek kwiatami polnymi, a z tyłu zakończony wielką kokardą niebieskiego aksamitu; wielki, biały klosz, zawoalowany szwajcarskiemi koronkami; wielki kapelusz tagałowy z wspaniałą girlandą, jaśniejącą w najmodniejszych odcieniach barw a przyozdobiony nadto jeszcze piórem czaplem.

Dom i kuchnia.

Ciastka na prędce.

Pół funta masła świeżego utrzeć z pół funta cukru i pół funta mąki pszennej w donicy, dodając wanilii, kręcić póki masa nie zbieleje. Blachę wysmarować masłem i rozpostrzeć masę na grubość trzonka od noża. Gdy ciasto wypieczone, co wypróbować nakłóciem słomką, krajać w podłóżne kwadraty i dopiec ponownie aż do zrumienienia. Piec powinien być jak po chlebie.

Budyń ze szpinaku dla jaroszów.

Łyżkę masła świeżego utrzeć na pianę z 5 namoczonemi w wodzie i wyciśniętemi z niej kajzerkami. Oddzielnie ugotować pełen talerz oczyszczonego szpinaku z dodaniem nieco cebuli i miękki przetrzeć przez durszlak. Do masy z bułki złożyć przetarty szpinak, dodać 5 żółtek, łyżkę mąki i nieco soli, a na końcu, gdy wszystko będzie wymieszane, dodać pianę z 5 białek. Masę gotową złożyć w formę od budyniu, masłem wysmarowaną, i gotować na parze przez 5 kwadransów.

Pieczeń rzymska.

Trzy funty wołowiny z krzyża usiekać drobno, a potem przeskrobać starannie, żeby nie było ani jednej żyłki. Sparzyć cebulę i pół utrzeć na tarce w rondelek, włożyć kawałek masła i zrumienić na żółto, a po przestudzeniu włożyć w mięso; dodać jeszcze jedną bułeczkę kajzerkę, obtartą z pierwszej skórki, namoczoną w mleku i wyciśniętą, 8 ziarnek utłuczonych pieprzu i łyżeczkę soli, a wreszcie wbić w środek dwa żółtka. Następnie przez kwadrans wyrabiać mięso na misce i przykrywszy talerzem, zostawić w spokoju.

Na pół godziny przed obiadem zrumienić łyżkę masła na brytfannie, wyjąć pieczeń, nadać jej formę podłużną i oprószywszy lekko z dwóch stron mąką, włożyć w gotujące masło, zasmażyć z jednej strony do zrumienienia, odwrócić i tak samo z drugiej obrumienić, a potem wstawić w piec, żeby się smażyła ciągle pół godziny, odwracając co jakiś czas. Potem wyjąć na blachę, polać kwaterką śmietany ubitej z odrobiną soli i przykryć, żeby napęczniała. Podając, pokrajać w plastry. Na zimno jest także wyborna.

W Szwajcaryi w ten sam sposób przyrządzają cielęcinę.

Potrawa z makaronu.

Funt mąki zagnieść z 4 całemi jajami, trochę soli, oraz pół łutem proszku zastępującego drożdże (kupić w drogeryi). Ciasto musi być znpełnie twarde, aby do stolnicy nie przylegało. Gotowe ciasto podzielić na 4 części, każdą jak można najcieniej rozwałkować, rozłożyć na płótnie i przesuszyć choćby tylko 15 minut, potem zwinąć w rulon i pokrajać na cienki makaron. Na pół godziny przed obiadem zagotować kwartę mleka, złożyć w nie makaron i na wolnym ogniu gotować 15—20 minut. Makaron przez tak długie gotowanie powinien wszystko mleko wchłonąć; wówczas wyłożyć go na głębszy półmisek, a wydając na stół polać masłem zrumienionem z bułeczką.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Bulion z pasztecikami, polędwica z garniturem, legumina biszkoptowa.

Poniedziałek. Zupa cytrynowa z ryżem, huzarska pieczeń z czerwoną kapustą, kompot z pomarańcz.

Wtorek. Zupa z fasoli na kwaśno, drób w zaprawce z ryżem, szarlotka z jabłek.

Środa. Zupa neapolitańska z makaronem, kotlety cielęce z jarzynami, omlet z konfiturą.

Czwartek. Barszcz polski z uszkami, kiełbasa z kapustą, kompot z morelek.

Piątek. Zupa z mleka z kruszonką, szczupak pieczony, naleśniki z sokiem.

Sobota. Rosół, zrazy po angielsku, ryż zapiekany z jabłkami.

:: HUMORYSTYKA ::

Piosenka bez końca.

Był pewien bogaty pan i kazał szukać na świecie takiego śpiewaka, któryby mu zaśpiewał piosenkę bez końca.

— Kto zaśpiewa piosenkę bez końca, ten dostanie sto dukatów — rzekł ów pan. — A kto zacznie śpiewać i skończy, ten dostanie karę.

Dosyć było ludzi chciwych, więc przychodzili rozmaici śpiewacy. Ten śpiewał o rycerzu, ten o wojnie, tamten o sierocie, inny o śmierci, o złej macosze, o królach możnych, ale żaden sto dukatów nie dostał, bo każda i najdłuższa piosenka skończyć się kiedyś musiała.

Już dość ludzi otrzymało karę, a bogaty pan jeszcze posyła posłańców w rozmaite strony i każe sprowadzać śpiewaków.

Aż raz przychodzi biedny żydek i rzecze:

— Ja zaśpiewam piosenkę bez końca.

— A jak skończysz to dostaniesz sto batów...

— Nie skończę i pan mi da sto dukatów.

— Więc zaczynaj!

— Usiadł żydek i śpiewa:

— Zima zyńdzie lato przyńdzie...

— Lato zyńdzie zima przyńdzie...

— Zima zyńdzie lato przyńdzie...

— Lato zyńdzie zima przyńdzie...

Tak śpiewa i śpiewa, aż wreszcie pan rzeknie:

— Doprawdy! ta piosenka jest bez końca.

I dostał żydek sto dukatów.

J. St.

Dobra rada.

— Co ja tu poradzę moja sąsiadka, mąż mi się codzień upija, w domu nie siedzi tylko ciągle w szynku.

— Ot, jest przecie rada...

— No, jaka?

— Założcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!...

W restauracyi.

Kelner! befsztyk taki twardy, że go trudno nożem przekroić.

— Pożal się pan przed wołem.

— Dobrze! — zawołaj mi tu gospodarza!

W handlu ptakami.

— Sprzedałeś mi pan wczoraj kosa i mówiłeś pan, że jest bardzo mądry i ładnie śpiewa.

— A tak, proszę pani, bardzo mądry ptak.

— Ale wcale nie śpiewa.

— Właśnie dlatego, milczenie jest cechą mądrości, proszę pani.

Nie opłaci się.

— Mój kochany, nie ma rady, musimy ci wstawić szklane oko.

— To się nie opłaci, panie doktorze!

— Jakto się nie opłaci.

— No, bo jeżeli moje własne mi pięścię wybili, to tembardziej szklane stłuką zaraz!

Przy oświadczynach.

— Więc pani odmawia mi ręki, dlaczego?

— Bo ja nie lubię kapusty.

— A cóż ja mam wspólnego z kapustą?

— Głowę.

W kantorze bankiera.

— Czego pan chcesz, panie Biedoklepski?

— Ja przyszedłem do pana pryncypała z prośbą.

— No, mów pan...

— Proszę pana pryncypała, chciałem prosić o zrównanie mojej pensji z płacą Fajnerkopfa, ja tyleż robię, co i on, a mam o 30 rubli miesięcznie mniej.

— Masz pan zupełną słuszność, trzeba temu zaradzić!

— Mogę przeto mieć nadzieję.

— Ależ pewność. Od jutra Fajnerkopf będzie brał o 30 rubli mniej to jest tyle, co i pan...

Komplemencista.

— Prawda, panie Michale, że moje ręce zdatne do fortepianiu.

— Rzeczywiście, ale żeby na nim kurz wycierać!

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego"
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.